

SZOLEM-ALEJCHEM

Z JARMARKU

Szolem-Alejchem

Z jarmarku

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23521538

Z jarmarku:

Аннотация

„Autobiografia i testament to jakby jedno i to samo” – pisał Szolem Alejchem w swojej ostatniej powieści. Można powiedzieć, że los zakpił z tego zdania, jako że autor zmarł, nie dokończywszy tego dzieła. Z planowanej opowieści o całym życiu pisarza dostaliśmy zaledwie rozdziały o dzieciństwie i młodości. Tym, co najbardziej zwraca uwagę, jest nastrój książki. O biedzie i nieszczęściach Szolem Alejchem pisze z humorem, o spotykanych ludziach – z wyjątkowym zmysłem obserwacyjnym i zamiłowaniem do opowiadania anegdot. Powieść nie przekształca się jednak w satyrę, a to ze względu na wielką życzliwość wobec ludzi i świata bijącą z jej kart.

Содержание

Dzieje tej książki w skrócie	5
1. Po co powieść, kiedy samo życie jest powieścią?	7
2. Miasto	10
3. Rodzice	15
4. Szmulik sierota	21
5. Skarb	25
6. Rabin w rajcu	29
7. Szmulik znika	34
8. Meir Medwedewker	38
9. Jeszcze jeden utracony przyjaciel	43
10. Kolega Sirko	47
11. Tragedia Sirki	52
12. Instynkt dobra i instynkt zła	55
13. Złodziejstwo, gra w karty i inne grzechy	60
14. Fejgele Diabeł	65
15. Duch-kawalarz	71
16. Rodzina	77
17. Stryj Nysl i ciocia Hudl	82
18. Pinele, syn Szymeły, jedzie do Odessy	89
19. Kto zmienia miejsce, ten zmienia los	99
20. Ludzie rozjeżdżają się	105
21. Gergele Złodziej	110
22. Bałagula ⁹⁹	117

23. Żegnaj, Woronko!	124
24. Podróż	131
25. W nowym domu	138
Конец ознакомительного фрагмента.	140

Z jarmarku

Dzieje tej książki w skrócie

Los książki podobny jest do losu człowieka. Musi ona przejść wszystkie męki piekielne, nim ujrzy światło Boże.

Z jarmarku nie ma jeszcze roku. Dziś dopiero książka ukazała się drukiem. Za sobą ma jednak sporą historię. Pozwólcie, że ją wam opowiem w kilku słowach.

Pierwszy, który natchnął mnie ideą wiernego opisania życia ludu żydowskiego w diasporze w minionym pięćdziesięciu, był nie kto inny, ale właśnie zwykły, prosty Żyd. Taki Żyd dnia powszedniego, którego nieżyjący już poeta I. L. Gordon obdarzył honorowym tytułem „Szanowny Czytelnik”. Obecnie mieszka on w Ameryce. To wielki miłośnik literatury żydowskiej. Naprawdę nazywa się Abraham Elijahu Lubarski. Jako mój wyznawca i wierny przyjaciel przybył on przed kilku laty do Szwajcarii, aby podsunąć mi plan następujący: w związku z tym, że przeżyłem całą epokę i wyrosłem, można śmiało powiedzieć, wraz z żydowską literaturą ludową, byłoby ze wszech miar wskazane, bym wziął na siebie ciężar odzwierciedlenia tej epoki w formie dużej powieści.

Myśl ta zaczęła kiełkować w mojej głowie, wziąłem się

do roboty. Wybrałem jednak inną formę. Formę powieści biograficznej.

Minęło kilka lat pracy. Książka rosła. Rozdział za rozdziałem. Co z tego jednak wynikło? Książka nie lubi leżeć bezczynnie. Książka lubi, aby ją drukowano i czytano. Kiedy doszło do druku, okazało się, że nie ma gdzie drukować. Nie stać żydowskiego pisarza, by drukować na koszt własny. Drukować w czasopiśmie? Do tego żydowska literatura jeszcze nie dorosła. Po prostu nie ma odpowiedniego, jak u innych szanujących się narodów, miesięcznika. Z ciężkim sercem musiałem nieraz odkładać pisanie. Trwało to dość długo, dopóki losy nie rzuciły mnie do drugiej ojczyzny – do Ameryki. I oto minął dopiero rok, a już przeniósłem się z moim dziełem do drugiego mieszkania. I tu dopiero wydawnictwo Wahrheit uznało za celowe wydać dwa pierwsze tomy *Z jarmarku*.

Widząc swoje myśli wyrażone drukiem, autor nabiera odwagi do kontynuowania swego marszu po obranej drodze. A droga jest jeszcze długa. Epoka dopiero zaczyna się kształtować. Obrazy dopiero zaczynają nabierać kolorów. Wydarzenia powoli rozwijają się, a postacie, zarówno te, które dawno już zniknęły, jak też te, które jeszcze żyją, postacie ze wszech miar godne szacunku, proszą, aby je rzucono na papier...

Miejmy nadzieję, że doprowadzimy naszą pracę do końca.

Nowy Jork, luty 1916

1. Po co powieść, kiedy samo życie jest powieścią?

Dlaczego właśnie „Z jarmarku”? Rodzaj wstępu. Dlaczego autor wziął się do pisania autobiografii? Szolem Alejchem-pisarz opowiada o dziejach Szolem Alejchema-człowieka

„Z jarmarku” może również znaczyć „z życia”, bo życie jest podobne do jarmarku. Każdy jest skory do porównywania ludzkiego życia z czymkolwiek. Pewien stolarz na przykład powiedział kiedyś: – Człowiek jest jak stolarz. Stolarz żyje, żyje, a potem umiera. Tak też bywa z człowiekiem. – Od szewca słyszałem, że życie człowieka podobne jest do pary butów. Kiedy podeszwy są już zdarte, to znaczy koniec. Pora głowie do piachu. Zupełnie naturalne będzie, jeśli furman przyrówna człowieka, nie przymierzając, do konia. Dlatego nie dziw, że takiemu jak ja człowiekowi, który przetarabanił już pół setki lat, a teraz zabrał się do opisanego swego życia, wpadło do głowy przyrównać własną przeszłość do jarmarku.

Prawda jednak nie przedstawia się dokładnie tak; kiedy mówi się „z jarmarku”, to ma się na myśli drogę powrotną albo wrażenia wyniesione z wielkiego jarmarku. Człowiek, kiedy wybiera się na jarmark, jest pełen nadziei. Spodziewa się znaleźć tam jakieś nadzwyczajne towary. Leci więc na ten jarmark jak

strzała z łuku. Mknie jak szalony. Nie zaczepiajcie go wtedy. On nie ma czasu! Gdy wraca z jarmarku, wie już, co kupić. Wtedy ma czas. Może już ochłonać, może też zdać relację ze swoich osiągnięć. Może opowiadać powolutku, nie śpiesząc się, o wszystkim. Z kim się na jarmarku spotkał, co widział i co słyszał.

Wiele razy moi przyjaciele nagabywali mnie i pytali, dlaczego nie zabrałem się do opisywania mego życia. Posłuchałem więc rad moich przyjaciół i nieraz chwytałem za pióro, ale zawsze je odkładałem, aż... nadeszła odpowiednia pora. Miałem zaszczyt, nim stuknęło mi pięćdziesiąt lat, spotkać się twarzą w twarz ze śmiercią w jej całym majestacie. Nie były to żarty. O mało co nie przeniosłem się tam, skąd listu nie napiszesz, paczki nie prześlesz, ba, nawet pozdrowienia nie można przekazać. Jednym słowem, było ze mną krucho, godziny moje były policzone. Wtedy powiedziałem sobie: – Teraz jest odpowiednia pora. Siądź i pisz, nikt nie zna bowiem dnia ni godziny. Umrzesz, to przyjdą ludzie, którzy będą uważali, że cię znali i poznali. Wymyślą o tobie różne cuda, o których filozofom się nie śniło. Na co ci to? Czyż nie lepiej, abyś sam to zrobił? Ty siebie znasz lepiej niż inni. Opowiedz o sobie. Napisz swoją biografię!

Łatwo powiedzieć: „napisz autobiografię”.

Napisz życiorys, historię prawdziwą, a nie wydumaną. Równa się to złożeniu czytelnikom sprawozdania z całego życia. Taka spowiedź przed całym światem. Wiecie, co wam powiem? Autobiografia i testament to jakby jedno i to samo. To po pierwsze. Po drugie zaś, jest to trudne zadanie dla

człowieka, który ma mówić o sobie. Niełatwo jest wznieść się do poziomu wykluczającego subiektywizm, pozwalającego uniknąć pokusy odmalowania siebie w różowych barwach, przedstawiania siebie samego jako wspaniałego młodzieńca, którego tylko głaskać i chwalić. Z tego to powodu wybrałem szczególną formę autobiografii – mianowicie formę powieści biograficznej. Znaczy to, że będę mówił o sobie jakby o osobie trzeciej. Ja, Szolem Alejchem-pisarz, opowiem wam prawdziwe dzieje Szolema Alejchema-człowieka.

Zrobię to bez ceregieli, bez zbędnych upiększeń i przyozdobień, którymi posługiwałby się zapewne człowiek postronny, obcy pisarz. Zrobię to jak człowiek, który z bohaterem był wszędzie. Razem z nim przeszedł przez wszystkie siedem kręgów piekła. A opowiem wam tę historię po troszeczkę, kawałkami. Podzielę powieść na poszczególne epizody. Epizod za epizodem.

A Ten, który daje człowiekowi siłę, aby zapamiętał wszystko, co z nim w życiu się wydarzyło, niech mnie wesprze, żebym nie uronił ani jednej sprawy, ani jednego wydarzenia godnego uwagi, żebym nie pominął ani jednej osoby spotkanej na tym wielkim jarmarku, w którym uczestniczyłem przez pięćdziesiąt lat mego życia.

2. Miasto

Małe miasteczko Woronka – coś w rodzaju Kasrylewki. Legenda z czasów Mazepy, stara bóżnica, stary cmentarz, dwa jarmarki

Bohater naszej powieści biograficznej wyrósł i wychował się w Kasrylewce, mieście znanym już trochę na świecie. Leży ono, jeśli jesteście ciekawi, na Ukrainie, w guberni połtawskiej, niedaleko starego, historycznego miasta Perejasław. A nazywa się w istocie nie Kasrylewka, lecz Woronka. Proszę to sobie zanotować.

Właściwie powinienem był wymienić nazwę miejscowości, w której się urodził nasz bohater. Powinienem też podać datę jego urodzin. Tak postępują wszyscy autorzy powieści biograficznych. Wyznam wam jednak, że mnie te dane nie interesują. Mnie interesuje tylko malutka Kasrylewka, czyli Woronka. Żadne bowiem inne miasto na świecie tak głęboko nie wryło się w pamięć mojego bohatera jak ta błogosławiona Kasrylewka-Woronka. Żadne też miasto nie znalazło w jego oczach tyle uznania, nie miało tyle wdzięku. Nigdy jej nie zapomniał i nigdy nie zapomni.

A prawdę powiedziawszy, które miasto na świecie, począwszy od Odessy, Paryża, Londynu a na Nowym Jorku skończywszy, może się poszczycić tak długim i szerokim rynkiem? Takim

rynkiem pełnym sklepów i straganów żydowskich, pełnym stołków i stolików, kramów, na których piętrzą się całe góry świeżych, pachnących jabłek i gruszek, melonów i kawonów¹. Kozy i świnie mają na nie wciąż chrapkę. Przekupki toczą ze zwierzętami nieustanne boje. My zaś, chłopcy chederowi², dopiero mamy chrapkę na te wszystkie przysmaki! Chcielibyśmy je zdobyć, ale nie da rady.

Jakie inne miasto posiada równie starą, pochyloną bóżnicę z tak piękną Arką o kunsztownej skrzynce? Zdobią ją dwa wyrzeźbione lwy. Wyglądałyby jak ptaki, gdyby nie te długie języki i rogi – szofary³ trzymane w paszczy. – W tej to bóżnicy – opowiadają – starzy Żydzi zamknęli się kiedyś nasi dziadowie w obawie przed Mazepą, oby imię jego szczezło. Trzy doby siedzieli tam w tałasach⁴ i tefilin⁵ i odmawiali psalmy. Dzięki temu uratowali się od niechybnej śmierci. – Ci sami Żydzi opowiadają, że stary rabin⁶ pobłogosławił tę bóżnicę, aby nigdy nie padła

¹ *kawon* (reg.) – arbuz. [przypis edytorski]

² *cheder* – dawna elementarna żydowska szkoła religijna, w której chłopcy od piątego roku życia uczyli się modlitw i *Biblii*. [przypis tłumacza]

³ *szofar* – róg barani służący do trąbienia w Nowy Rok i Jom Kipur. [przypis tłumacza]

⁴ *tates* – biała chusta zakładana na ramiona podczas modlitwy. [przypis tłumacza]

⁵ *tefilin* – *filakterie*, dwa skórzane pudełka z cytatami z *Pięcioksięgu*. Jedno z nich przytwierdza się podczas modlitwy rzemykiem do czoła, drugie do lewego przedramienia. [przypis tłumacza]

⁶ *rabin* – (odpowiedzialny wobec władz) przywódca gminy żydowskiej. Przysługuje mu orzecznictwo w sprawach rytualnych, interpretacja prawa żydowskiego oraz nadzór nad nauczaniem. [przypis tłumacza]

ofiarą płomieni. I nie pali się, nawet przy największym pożarze.

A które miasto posiada łaźnię położoną na stoku góry, tuż nad brzegiem rzeki? Jakie inne miasto ma studnię, której woda nie ulega wyczerpaniu? A sama rzeka? Gdzie jeszcze na świecie macie taką rzekę, w której od pokoleń chłopcy z chederu i szejgece⁷ pluskają się, uczą się pływać, łowią ryby i wyczyniają różne godne podziwu kawały?

O tej wiekowej łaźni, która stoi nie wiadomo jakim cudem, starzy Żydzi mają co niemiara do opowiadania. Pewnego razu znaleziono w niej powieszonoego goja⁸. Zapił i powiesił się. Wynikło jednak z tego oszczercze oskarżenie, że to Żydzi go powiesili. No i były kłopoty. Zamierzano wychłostać wszystkich szanowniejszych obywateli, a może być, że i wychłostano. Nie będę się grzebał w tej historii, albowiem nie znoszę smutnych opowieści, nawet gdyby dotyczyły one lat najdawniejszych...

Jakie jeszcze miasto posiada tak wysoką górę, tę po tamtej stronie bóżnicy, której wierzchołek sięga chmur, a w jej wnętrzu jest schowany skarb z czasów Chmielnickiego?

– Ilekroć – opowiadają starzy Żydzi – zabierano się do poszukiwania skarbu, tyle razy trzeba było szybko zaniechać dalszego kopania. Natrafiano bowiem na szkielety. Na ręce, nogi i głowy ludzi owiniętych w całuny. Może byli to Żydzi-męczennicy. Kto wie?

A które inne miasto posiada takich znakomitych, nobliwych

⁷ szejgec – łobuz. [przypis tłumacza]

⁸ goj – nie-Żyd. [przypis tłumacza]

obywateli? Z pozoru niby tylko drobni handlarze, drobni kramarze, którzy żyją z gojów albo z tego, co jeden na drugim zarobi. Mimo to żyją po pańsku. Każdy ma swoje mieszkanie, swoją rodzinę i swoje stałe miejsce w bóżnicy. I to miejsce przy wschodniej ścianie albo inne równie honorowe. Zresztą, co za różnica. A jeśli któryś obywatel sam nie jest bogaczem lub nie zalicza się do ludzi poważnych, to ma krewnego bogacza lub notabla, którym bez przerwy gębę sobie wyciera, opowiadając o nim takie przesadzone i wyolbrzymione historie, że można dostać zawrotu głowy...

A gdzie jest równie stary i rozległy cmentarz? Cmentarz rzeczywiście bardzo stary i bardzo okazały. Zarośnięty tak gęstą trawą, że nie wiadomo, czy faktycznie są tu jakieś mogiły. O tym cmentarzu jest też co opowiadać. A opowiadanie nie będzie należało do wesołych. Raczej do strasznych. Oczywiście dotyczy ono spraw sprzed wielu lat. Ale na noc nie warto mówić o cmentarzach.

Małe miasteczko z tej Woronki, lecz piękne i pełne wdzięku. Jeśli was poniosą nogi, to możecie przemierzyć całe miasteczko wzdłuż i wszerz w ciągu jednej i pół godziny.

Bez kolei i bez morza, i bez wrzawy. W ciągu roku wszystkiego dwa jarmarki, krasne targi i Pokrowa. Obydwa dla Żydów. Żeby Żydzi mogli zarobić, żeby mieli z czego żyć. Małe, bardzo małe miasteczko. Obfituje za to w różne piękne opowieści i legendy, z których można by ułożyć całą książkę.

Wiem, że przepadacie za opowieściami i legendami. Cóż z

tego? Nie mogę sobie na to pozwolić. Muszę trzymać się ściśle ram określonych przez powieść biograficzną. Przede wszystkim muszę was zapoznać, zgodnie ze zwyczajem, z rodzicami naszego bohatera, z jego ojcem i matką. Bądźcie zadowoleni, że zaczynam od razu od rodziców, a nie od dziadków i pradziadków, jak to czynią inni biografowie.

3. Rodzice

Woronkowski bogacz. Kupa dzieciaków. Służąca.
Bohater figlarz i parodysta

Wysoki, z wiecznie zatroskaną twarzą, szerokim, jasnym i pomarszczonym czołem, z rzadką, figlarną bródką, gospodarz w każdym calu, kantor⁹ bóżnicy, uczony w *Piśmie*, pobożny, znawca hebrajskiego, chasyd¹⁰ cadyka¹¹ z Talna, zwolennik i miłośnik Mapu, Słonimskiego i Cederbauma, badacz, arbiter w sporach, doradca, szachista, ekspert od brylantów i pereł – oto sylwetka ojca naszego bohatera. Oto reb¹² Nachum Wewik, uważany w mieście za największego bogacza.

Ile właściwie posiadał ten bogacz, trudno powiedzieć. Interesów jednak miał co niemiara. Był właścicielem nieruchomości, dostarczał buraków do cukrowni, dzierżawił miejscową pocztę, handlował zbożem, przewoził ładunki

⁹ *kantor* – śpiewak prowadzący modły w bóżnicy. [przypis tłumacza]

¹⁰ *chasyd* – zwolennik ruchu religijno-mistycznego, którego twórcą był Izrael Baal Szem Tow z Podola (XVIII w.). Chasydyzm przeciwstawił się judaizmowi rabinicznemu, kładł główny nacisk na osobistą modlitwę. Zjednoczeniu z Bogiem służyły również ekstatyczne śpiewy i tańce. [przypis tłumacza]

¹¹ *cadyk* – sprawiedliwy, charyzmatyczny przywódca duchowy chasydów. Zwolennicy chasydów wierzyli m. in. w ich moc czynienia cudów. [przypis tłumacza]

¹² *reb* – tytuł grzesnościowy, odpowiednik polskiego „pan”. [przypis tłumacza]

berlinkami¹³ na Dnieprze, zajmował się wyrębem lasów, handlem wołami, ale dochody czerpał przede wszystkim ze sklepu z manufakturą. Mówi się: „sklep z manufakturą”. W istocie rzeczy były w tym sklepie towary kolonialne, spożywcze, siano i owies. Można było tam dostać także leki domowego przemysłu dla gojów i gojek. Artykuły żelazne też. Do sklepu z manufakturą ojciec nie wtrącał się. Tu rządziła wszystkim matka, kobieta-zuch, baba-kozak. Prędką w działaniu i niezwykle surowa dla swoich dzieci. A dzieci było sporo. Ponad tuzin. Rozmaitego wzrostu i wieku, rozmaitych odcieni, dzieci o czarnych, blond i rudych włosach.

Z dziećmi nie certowano¹⁴ się specjalnie. Szczególnie za nimi nie tęskniono. Nie wypatrywano z tęsknotą ich przyjscia na świat. A gdyby tak, nie daj Bóg, nie przyszły na ten świat, to też nie byłoby nieszczęścia. Ale skoro już przyszły i są, to proszę bardzo. Komu przeszkadzają? Niech żyją długie lata. A jak chłopakowi udało się wywinąć od odry, ospy czy innych chorób i plag dziecięcych i osiągnąć odpowiedni wiek, to szedł do chederu¹⁵. Z początku do belfra Nuty Lejba, melameda¹⁶ od *Pisma*, a później do reb Zurechla, nauczyciela *Gemary*¹⁷. Jeśli zaś

¹³ *berlinka* – rodzaj krytej barki rzecznej. [przypis edytorski]

¹⁴ *certować się* – obchodzić się z przesadną delikatnością. [przypis edytorski]

¹⁵ *cheder* – dosłownie: pokój; nazwa szkoły dla początkujących, w której żydowscy chłopcy po ukończeniu piątego roku życia uczyli się czytania po hebrajsku modlitw oraz poznawali *Pismo Święte*. [przypis edytorski]

¹⁶ *melamed* – nauczyciel w chederze. [przypis tłumacza]

¹⁷ *Gemara (Gemore)* – część *Talmudu* spisana po aramejsku i hebrajsku, zawierająca

nie wymknął się z rąk paskudnego anioła śmierci o tysiącu oczu, który czyha na małe dzieciątka, to zawczasu wracał tam, skąd przybył. Zawieszano wtedy zasłony na lustrach, a ojciec z matką siadali do siedmiodniowej pokuty. Zdejmowali buty i zanosili się wielkim płaczem. Tak długo płakali, aż przestali. Odmawiali werset „Bóg dał i Bóg zabrał”, po czym wycierali oczy, wstawali z podłogi i zapominali... Inaczej być nie mogło, bo na domowym jarmarku kłębiło się ponad tuzin dzieci, od wyrostka, któremu zaczęła się już sypać bródka, aż do niemowlęcia przy piersi.

Wychowanie takiej gromady dzieci oraz przetrzymanie ich wszystkich chorób wymagało od matki niezwyklej zaradności. Nie obyło się przy tym bez bicia, lania i prania, czego dzieciom nie skąpiła. Wystarczyło jednak, aby któreś z dzieci zachorowało, a matka nie odstępowała od jego łóżeczka: – Obym ja chorowała zamiast ciebie! – Kiedy jednak wyzdrowiało i stanęło na nogi, już krzyczała: – Do chederu, łobuziaku, do chederu!

W chederze uczyli się wszyscy od czwartego roku życia aż... prawie do ślubu. A z całej czeredy dzieciaków wyróżniał się jako wielki łobuz ten średni, bohater niniejszej powieści biograficznej. Nazywał się Szolem albo Szolem syn Nachuma, syna Wewika.

Gwoli prawdy trzeba powiedzieć, że najgorszym chłopcem ten Szolem, syn Nachuma syna Wewika, nie był; co do nauki, to uczył się lepiej od wszystkich pozostałych dzieci, zaś co do

razów, lania, prania i szturchańców, to zainkasował ich więcej niż wszyscy pozostali. Widocznie zasłużył.

– Zobaczycie, Żydzi, że z tego malca nic dobrego nie będzie! Rośnie zero do kwadratu. Licho wie, kim zostanie. Zapewne wyrośnie z niego awanturnik, niezdiscyplinowany samowolnik, żarłok i pijus, istny Iwan Poperyło, wyrzutek, renegat, uosobienie wszelkiego zła. – Takie świadectwo wystawiała mu Fruma, służąca ślepa na jedno oko i dziobata, ale za to bardzo skąpa i wierna. Wierna i oddana, uczciwa służąca. Dzieci tłukła, ile wlezie. Skąpiła im jedzenia. Całą uwagę skupiała na tym, aby były pobożne, uczciwe i porządne wobec Boga i ludzi. A że matka – herod-baba – przeważnie przebywała w sklepie, pobożna służąca rządziła domem twardą ręką, zaś dzieci wychowywała niczym prawdziwa matka. Budziła je ze snu, myła, kąpała, odmawiała wraz z nimi błogosławieństwo poranne, biła, dawała im śniadanie, odprowadzała do chederu i odbierała z chederu; znowu biła, karmiła obiadem i kolacją, odmawiała wraz z nimi wieczorną modlitwę *Kriat Szma*¹⁸, znów sprząła i kładła spać. I bez żenady wszystkie razem w jednym łóżku. Dzieci w łóżku z jednej strony a ona z drugiej strony w nogach.

Dała ta dziewczoja Fruma poczuć dzieciom smak prawdziwej niewoli gołesowej¹⁹. Dzień jej zamążpójścia, dzień jej wesela, stał się dla nich świętem. Oby długie lata żył Idele Złodziej,

¹⁸ *Kriat Szma* a. *Krias Szma* – modlitwa odmawiana rano i przed snem. [przypis tłumacza]

¹⁹ *goles* – diaspora. [przypis tłumacza]

z grzywą kręconych włosów wysmarowanych gęsim tłuszczem, z zasmarkanym nosem, którego nigdy nie mógł wyczyścić do końca. Choćby nawet stanął na głowie. Oby długo żył za to, że postanowił (co za wariat!) poślubić tę ślepą Frumę. A poślubił ją nie tak prosto, bo z miłości. Zakochał się w niej, można powiedzieć, na śmierć. I nie z tego, broń Boże, powodu, że miała tylko jedno oko i była dziobata. Ożenił się dlatego, iż chciał skumać się z Nachumem, synem Wewika. Toć nie żarty – taka koneksja! Sama Chaja Estera, matka Szolema, wyprawiła wesele. Grała na nim główną rolę. Upiekła ciasto, sprowadziła klezmerów²⁰ z Brzezan, tańczyła, hulala do białego rana i całkowicie ochrypla. Śmiechu było co niemiara. Bractwo naśmiało się i natańczyło do woli. Nie chodziło o to, że gwizdzący przez nos złodziej żeni się ze ślepą dziewczuchą; ważne było, iż ślub służącej Frumy oznaczał dla dzieciaków całkowite – i to na zawsze – uwolnienie się od jej opieki. Przy sposobności uśmiano się też setnie z przedrzeźniania przez szejgeca²¹ szczęśliwej pary. Doskonale naśladował pana młodego, jak bez przerwy gwizdże przez nos, i pannę młodą, jak jednym okiem spoziera na swego oblubieńca i oblizuje się niczym kot, który dorwał się do śmietany.

Naśladować, parodiować, przedrzeźniać – w to tylko graj naszemu szejgecowi. W tej materii był mistrzem. Wystarczyło mu raz spojrzeć na kogoś i już znajdował w nim jakąś wadę

²⁰ *klezmer* (pot.) – muzykant, zwł. żydowski. [przypis tłumacza]

²¹ *szejgec* – łobuz. [przypis edytorski]

albo śmiesznośćkę. Natychmiast nadymał się jak balon i dawaj odgrywać przedstawienie. A bractwo pękało ze śmiechu.

Rodzice poskarżyli się rebemu²². Powiedzieli, że chłopak zgrywa się i naśladuje wszystkich niczym małpa, przeto należy go od tego odzwyczaić. I rebe, jego nauczyciel, zaczął go odzwyczaiać. Niewiele to jednak pomogło. Jakiś diabeł wstąpił w to dziecko. Jakiś chochlik, który każe mu wszystkich naśladować i parodiować. Wszystkich bez wyjątku. Nawet samego rebego. Jak niucha tabakę, jak chodzi drobnymi kroczkami. I żonę rebego. Jak pyskuje, jak rumieni się, jak mruży oczko, gdy ma wziąć u rebego pieniądze na szabes²³ i nie jest w stanie wypowiedzieć „szabes”, tylko wciąż mówi „sabes”. Więc lanie go nie omijało. Dostawał, oj dostawał! Jednym słowem, było życie.

²² *rebe* – tytuł cadyka, także melameda. [przypis tłumacza]

²³ *szabes* – sobota. [przypis tłumacza]

4. Szmulik sierota

Opowieści, fantazje, marzenia. Kabała i czary

Są twarze, które zostały przez Pana Boga stworzone specjalnie po to, aby was oczarować od pierwszego spojrzenia. – Kochaj mnie! – rozkazuje, wprost przemawia do was taka twarzyczka, a wy zakochujecie się w niej natychmiast. Taką właśnie wdzięczną twarzyczkę miał Szmulik, sierota. Chłopak bez ojca i matki, na utrzymaniu w domu rabina.

Polubił go bohater naszej powieści Szolem, syn Nachuma, syna Wewika, od pierwszego spotkania. Odtąd dzielili się wszystkim. Dzielili się śniadaniem i obiadem. Stali się przyjaciółmi. Połączyła ich przyjaźń przez duże „P”. Stanowili jedną duszę i jedno ciało. A jak to się stało? Wszystko przez opowieści Szulika. Nikt nie miał tyle do opowiadania, co Szmulik. Same opowieści to nie wszystko. Ważny też jest sposób ich przekazywania. Opowiadać trzeba umieć. A Szmulik potrafił opowiadać jak nikt na świecie.

Skąd znał ten chłopiec o czerwonych policzkach i marzących oczach takie opowieści? Tyle pięknych, obfitujących w niezwykle obrazy fantastycznych bajek? Czy słyszał je od kogoś? A może je sam wymyślił? Może to wyłącznie płody jego fantazji? Do dziś nie mogę tego pojąć. Wiem tylko jedno: wpływały one niczym ze źródła, a źródło było niewyczerpane.

Opowieści jego toczyły się gładko jak po maśle. Snuły się i ciągnęły jak długa nić jedwabna. I głos miał słodki, i jak cukier słodka była jego mowa. Kiedy mówił, policzki miał czerwone a oczy marzące i nieco wilgotne, jakby je przeciągnięto lekkim, cienkim dymkiem.

W piątek po południu lub w sobotę po obiedzie albo wieczorem w święta przyjaciele zwykli byli wybierać się na wysoką górę w Woronce. Wspinali się na jej szczyt, na wierzchołek, który „sięgał niemal chmur”. Tam obaj kładli się na brzuchu albo na wznak, twarzą do nieba, i Szmulik zaczynał swoje opowieści. Ciągnął bajkę za bajką. Bajkę o królewiczu i królewnie. Opowieść o rabinie i rabinowej. Bajkę o księciu i psie. Bajkę o księżniczce i kryształowym pałacu. Opowieść o dwunastu rozbójnikach w lesie. Historię o okręcie, który zapuścił się na zastygłe morze. Opowieść o papieżu, który prowadził dyskusje z największymi rabinami, i bajki o zwierzętach, biesach, duchach i czortach, o czarownikach i diablkach, o smokach, o dziwnych człekokształtnych zwierzętach. Także historię o wiszącym lichtarzu w Pradze. A każda opowieść czy bajka miała swój niepowtarzalny smak, swój jedyny zapach i jakiś szczególny urok.

Szolem, syn Nachuma, syna Wewika, miał oczy i uszy otwarte. Nie spuszczał wzroku z tego ładnego chłopca o czerwonych policzkach i marzących, pięknych oczach.

– Skąd to wszystko, Szmuliku, wiesz?

– Głuptasku, to jeszcze nic. Wiem nawet, jak się toczy wino

ze ściany. Jak wytoczyć oliwę z sufitu.

– A jak utoczyć wino ze ściany? I jak oliwę z sufitu?

– Głuptasku, to wszystko betka. Wiem nawet, jak się robi z piasku złoto. Jak ze skorupki można zrobić diamenty i brylanty.

– Jak to się robi?

– Jak? Przy pomocy Kabały²⁴. Rebe przecież zajmuje się kabalistyką. Kto o tym nie wie? Przecież on nigdy nie śpi.

– A co wtedy robi?

– W nocy, kiedy wszyscy śpią, on czuwa. Siedzi sobie i zajmuje się Kabałą.

– A ty wszystko, co on robi, widzisz?

– A jak, głuptasku, mogę to widzieć, skoro śpię?

– To skąd wiesz, że zajmuje się Kabałą?

– A kto o tym nie wie? Każde dziecko wie o tym. Możesz zapytać, kogo chcesz. To, co rebe umie, tego nikt nie potrafi. Jeśli tylko zechce, to stoi przed nim otworem wszystkie dwanaście studni rtęci i wszystkie trzynaście ogrodów pełnych szafranu, złota, srebra, diamentów i brylantów. I tyle tego, ile piasku nad morzem. Tyle, że nawet się odechciewa.

– Dlaczego więc stale jesteś głodny? I dlaczego rabin nie ma grosza na sobotę?

– Dlatego, że nie chce. Na tym padole żyje byle jak, bo pragnie odbyć pokutę. Jest pokutnikiem. Gdyby chciał, byłby bogaty jak Krezus. Tysiąc Rotszyldów miałby w jednym palcu.

²⁴ *Kabała* – mistyczne księgi żydowskie, *Zohar* – Blask i *Tefer jeciva* – Księga Stworzenia, oraz *Echachaim* – Drzewo Życia. [przypis edytorski]

Wie bowiem, jak dojść do bogactwa. Nie ma dla niego tajemnic. Zna nawet miejsce, gdzie jest ukryty skarb.

– Gdzie jest ukryty skarb?

– Mądralo! Skąd mogę wiedzieć. Gdybym wiedział, dawno bym ci wyjawiał. W środku nocy przyszedłbym do ciebie. Obudziłbym cię ze snu i powiedziałbym: „Chodźmy, Szolem, tam gdzie skarb. Nabierzemy pełne ręce złota. Ponapychamy sobie kieszenie!”

I jak tylko Szmulik zaczął mówić o skarbie, zapaliły się jego marzące oczy, a policzki okrył paś. Owładnęła nim gorączka. Tak się rozpalił, rozpłomienił. Szmulik mówił, a jego przyjaciel Szolem, syn Nachuma, syna Wewika, nie odrywał wzroku od jego ust i pochłaniał każde słowo.

5. Skarb

Legenda z czasów Chmielnickiego. Cudowne kamienie

Że w naszym miasteczku jest ukryty skarb, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Skąd się wziął u nas skarb? Chmielnicki ukrył go tutaj przed laty. Przez tysiące lat ludzie gromadzili skarby i kosztowności, aż zjawił się Chmielnicki i zagarnął je.

– Kto to był Chmielnicki?

– Nie wiesz, kto to był Chmielnicki? Był to zły człowiek, grzesznik, Haman²⁵ z dawnych czasów... O tym przecież każde dziecko wie. Ten to Chmielnicki, ten grzesznik, ten Haman, napadł i obrabował dziedziców i bogatych Żydów. Zabrał im mnóstwo złota i przywiózł je do nas, do Woronki. Tutaj też pewnej nocy przy świetle księżycy zakopał je w ziemi po drugiej stronie bóżnicy, na stoku góry. Zakopał je głęboko. To miejsce zarosło trawą i zostało zaklęte, aby nikt nie mógł odnaleźć skarbu.

– I co? Przepadł skarb na zawsze? Na wieki wieków?

²⁵ *Haman* – pierwszy minister Persji za panowania króla Achaszwerosza. Nienawidził on Żydów do tego stopnia, że skłonił króla, by ten wydał rozkaz ich zgładzenia. Tymczasem Achaszwerosz pokochał i poślubił żydowską dziewczynę Estere, która postępując wedle wskazówek swego wuja i opiekuna Mordechaja, wpłynęła na cofnięcie okrutnego zarządzenia, ocalając w ten sposób swój lud. Haman i jego synowie zostali powieszoni, a jego miejsce zajął wuj królowej, Mordechaj. Na pamiątkę tego wydarzenia Żydzi obchodzą radosne święto Purim (hebr.) – dosłownie: losy. [przypis edytorski]

– A kto ci powiedział, że przepadł na zawsze, na wieki wieków? A po co Pan Bóg stworzył Kabałę? Kabaliści, głuptasku, mają na to radę.

– Jaką radę?

– Już oni wiedzą lepiej. Mają takie zaklęcia. Znają taki werset z *Psalmsów*, które należy odmówić czterdzieści razy czterdzieści...

– Co to za werset?

– Oj, głuptasku, gdybym ja to wiedział. A gdybym nawet znał go, to też nie koniec na tym. Trzeba odbyć czterdzieści postów, odmówić czterdzieści rozdziałów *Psalmsów*, a czterdziestego pierwszego dnia, gdy słońce zajdzie, należy ukradkiem wymknąć się tak, aby nikogo nie spotkać po drodze. Nie daj Bóg, aby się ktoś nawinał. W przeciwnym razie trzeba wszystko zacząć od nowa. Znowu odbyć czterdzieści postów i wtedy dopiero, gdy wszystko ci się uda i nikt ciebie nie zauważy, powinieneś pójść ciemną nocą, na początku miesiąca, za bóżnicę, drogą w dół, i tam stać na jednej nodze przez czterdzieści minut, odliczając czterdzieści razy po czterdzieści, a jeśli nie pomylisz się w niczym, skarb natychmiast odsłoni się przed tobą...

I Szmulik wyjaśnia w sposób arcyważny swemu przyjacielowi Szolemowi tajemnicę zdobycia skarbu. Czyni to głosem cichym, stopniowo coraz bardziej przyciszonym. Jakby czytał z książki, nie zatrzymuje się nawet na chwilę.

– A odsłoni się przed tobą skarb poprzez płomyk, poprzez mały ogieniek. A gdy płomyk ci się ukaże, masz natychmiast

podejść do niego. Nie bój się, nie poparzysz się. Płomyk bowiem nie pali się, świeci tylko. Tobie pozostaje nachylić się i nabierać pełne garści – Szmulik pokazuje, jak nabiera obiema rękami – złota, srebra, diamentów, brylantów oraz kamieni, które nazywają się rubiny i jaspisy...

– A jaka między nimi różnica?

– Duża różnica, głuptasku. Rubin to taki kamień, który świeci w ciemności, zaś jaspis posiada w sobie siłę zdolną przekształcić czarne w białe, czerwone w żółte, zielone w niebieskie, mokre w suche, głodne w syte, stare w młode, martwe w żywe... Trzeba tylko potrząść nim prawą klapę kapoty i powiedzieć: „Oby mi wyszło i wyszło dobre śniadanie!”. I zaraz pojawia się srebrna taca, a na niej dwie pary pieczonych gołąbków, świeże, z najlepszej mąki, placuszki, prima sort. Albo inaczej: „Niech mi się pojawi, pojawi dobry obiad”. I ukazuje się złota taca, a na niej najrozmaitsze potrawy i dania z królewskiego jadłospisu. Pieczone ozory i farszem nadziewane szyjki, których zapach napełnia cię rozkoszą. A przed twoimi oczyma naraz wyrastają świeże, ciut przypieczone, plecione kołacze. A wina, ile dusza zapragnie, i to najlepszego gatunku. Orzechy, chleb świętojański i cukierki w wielkich ilościach. Jest tego tak dużo, że ochota na to odchodzi.

I Szmulik odwraca głowę na bok i s pluwa. A jego przyjaciel poznaje po wyschniętych wargach, po bladej twarzy i rozmarzonych oczach chłopca, że nie wzgardziłby kawałkiem pieczonego ozorka, nadziewaną szyjką albo pajdą kołacza...

I ślubuje wtedy, że jutro, jeśli Bóg pozwoli, przyniesie dla niego z domu kilka orzechów, trochę chleba świętojańskiego i cukierków, które zwędził, za przeproszeniem, w sklepiku matki. A tymczasem prosi Szmulika, żeby opowiadał dalej. I Szmulik nie daje się długo prosić. Ociera wargi i ciągnie swą opowieść.

– ...A gdy najadłeś się już tych potraw do syta i zapiłeś to wszystko najlepszego gatunku winami, bierzesz kamyczek i pocierasz go sobie o klapę powiadając: „Niech się pojawi miękkie posłanie!”. I pojawia się łóżeczko z kości słoniowej, złotem zdobione, z pierzynką miękką jak masło, z jedwabnymi poduszkami u wezgłowia²⁶ i atlasową kołdrą. Wyciągasz się jak długi i zasypiasz. I śnią ci się aniołowie, cherubiny i serafiny²⁷. I śni ci się raj, ten najwyższy i ten niższy... Albo, jeśli chcesz, pocierasz kamyczek i unosisz się w górę aż do chmur, i ponad chmury, i lecisz niczym orzeł wysoko, wysoko, daleko, daleko!

Czy bajki biednego sieroty Szmulika wpłynęły jakoś na twórczość jego przyjaciela Szolema, gdy ten stał się już Szolemem Alejchemem, trudno powiedzieć. Jedno jest pewne: Szmulik wzbogacił wyobraźnię chłopca, rozszerzył jego horyzonty, a marzenie o skarbach, cudownych kamieniach i innych rzeczach Szolem przechowuje do dnia dzisiejszego głęboko w sercu. Może w innej formie, zmienionym kształcie, ale z całą pewnością przechowuje je do dziś.

²⁶ *wezgłowie* – część łóżka, gdzie kładzie się głowę. [przypis edytorski]

²⁷ *cherubiny i serafiny* – anioły znajdujące się wysoko w hierarchii chórów anielskich. [przypis edytorski]

6. Rabin w raju

*Przyjaźń Dawida z Jonatanem*²⁸. *Lewiatan i Szor Habor*²⁹. *Jak wyglądają cadycy na tamtym świecie*

Piękna i cudowna opowieść Szmulika oczarowała jego młodego przyjaciela. W nocy śnili mu się książęta i księżniczki. Budzili go i ciągnęli za rękaw: – Wstań, Szolemie, ubierz się i chodź z nami! – I nie tylko we śnie, ale też na jawie znajdował się niemal zawsze wśród książąt i księżniczek, gdzieś w kryształowym pałacu, na zastygłym morzu lub na jakiejś wyspie, na której mieszkają dzicy ludzie. Albo przebywał w dziwnym raju, gdzie jest dwanaście studni z rtęcią i trzynaście ogrodów pełnych szafranu, a złota i srebra nie zliczysz. Wala się to niczym śmiecie. Innym razem przy pomocy jaspisowego kamyka wznosił się w górę, ponad chmury... Doszło do tego, że zaczął te wszystkie cudowności widywać nieomal na każdym kroku.

Kilka belek złożonych do kupy na podwórku wystarczyło, by wlaź na nie wyobrażając sobie, że jest na wyspie. Że jest księciem. Zaś gęsi i kaczki przechadzające się po podwórku to dzicy ludożercy. Króluję nad nimi. Może ich popędzić dokąd

²⁸ *Jonatan* (bibl.) – syn króla Saula, przyjaciel skonfliktowanego z nim Dawida. [przypis edytorski]

²⁹ *Szor Habor* – rajski byk. Po nadejściu Mesjasza jego mięso będzie spożywane na uczcie sprawiedliwych. [przypis tłumacza]

zechce, może z nimi zrobić, co mu się żywnie podoba, są bowiem jego poddanymi... Zwykły kawałek szkła zamieniał się w oczach Szolema w drogocenny, cudowny kamień, coś w rodzaju rubinu. Mały kamyczek podniesiony z ziemi mógł być jaspisem. Kto wie? Nie leni się więc, bierze kamyczek, pociera go, gdy nikt nie widzi, o prawą klapę marynarki i powiada tak, jak uczył Szmulik: – Oby mi wyszło, wyszło...

Najbardziej jednak zapamiętał Szolem opowieści Szmulika o skarbach. Był więcej niż pewny, że lada dzień, nie dziś, to jutro, odsłoni się przed nim skarb. Całe złoto odda ojcu i matce. Ojciec nie będzie musiał więcej troszczyć się o swoje interesy. Matka nie będzie musiała całymi dniami marznąć w sklepie. Dzięki mocy zaklętej w jaspisowym kamieniu Szolem zbuduje pałac z kryształu i otoczy go ogrodem z szafranu. A w samym środku ogrodu stanie studnia pełna rtęci. Pies będzie pilnował wejścia, zaś smoki i inne dziwne stwory wraz z dzikimi kotami będą siedzieć na drzewach. A on, książę, we własnej osobie będzie rozdzielał hojną dłonią datki wśród biedaków Woronki. Pokażne datki i datki nieco mniejsze. Każdemu według zasług.

Trudno było sobie wyobrazić, aby ci dwaj kochający się przyjaciele, Szolem, syn Nachuma, i sierota Szmulik, mieli kiedyś rozstać się na zawsze. Po pierwsze, dlaczego w ogóle mieliby się rozstać? Po drugie, przecież przysięgli sobie uroczyście, że jeden bez drugiego nigdzie i nigdy nie wyjedzie, i bez względu na to, co by się stało, dokąd by ich los nie rzucił, zawsze stanowić będą jedno ciało i jedną duszę.

Była to taka miłość, jaka panowała między Dawidem i Jonatanem. Czy można było przewidzieć, że pewnego dnia rabin, który wprawdzie był w podeszłym wieku – boję się, czy aby nie przekroczył siedemdziesiątki – nagle ni z tego, ni z owego położy się i umrze, a sierota Szmulik pojedzie z wdową do jakiegoś małego miasteczka, położonego nie wiadomo gdzie w chersońskiej guberni? Nikt nie przeczuwał, że zniknie jak kamfora, tak jakby go nigdy nie było na świecie.

Wyobraźcie sobie, że nic nie jest tak proste, jak się wydaje. Nie tak łatwo rabin kładzie się do łóżka i umiera. Rabin, który zawsze był słabeuszem, a zdrowie stracił wskutek ciągłych postów i niedojadania, położył się na stare lata do łóżka. Sparaliżowany przeleżał ponad rok, prawie wcale nie jedząc i nie pijąc. Nieprzerwanie tylko studiował księgi, modlił się i zmagał ze śmiercią. Szmulik opowiedział swojemu przyjacielowi, zaklinając się przy tym na wszystkie świętości, że co wieczór między *Minchą*³⁰ i *Maariw*³¹ wlatuje przez szczelinę w oknie Baal Dower³², czyli Śmierć. Staje u wezłowania chorego i czeka. Niech tylko chory na chwilę przerwie modlitwę, zrobi z nim „chik” i koniec. Rabin jednakże mądrzejszy jest od śmierci. Nie przerywa modlitwy, nawet na chwilę. Wciąż coś tam powtarza. Albo się modli, albo studiuje.

– Jak on wygląda?

³⁰ *Mincha* (*Minche*) – modlitwa popołudniowa. [przypis tłumacza]

³¹ *Maariw* – modlitwa wieczorna. [przypis tłumacza]

³² *baal dower* – niegodziwiec. [przypis tłumacza]

– Kto?

– Ten Baal Dower?

– A skąd miałbym wiedzieć?

– Powiadasz, że on przychodzi. Musiałeś go widzieć.

– Głuptasku! Kto raz go zobaczy, ten nie może już żyć. Jak więc mogłem go widzieć?

– Skąd więc wiesz, że on przychodzi?

– A co ma robić? Czekać na zaproszenie?

A gdy rabin umarł, dwaj przyjaciele przeżyli prawdziwe święto.

Rabin miał piękny pogrzeb, taki piękny, na jaki może sobie pozwolić tylko rabin w małym miasteczku. Sklepy były zamknięte. Dzieci z chederu zwolniono. Całe miasto odprowadzało go na cmentarz. Z pogrzebu rabina obaj serdeczni przyjaciele wracali na końcu. Wzięli się za ręce i szli powolutku, nie śpiesząc się, aby jak najdłużej pogadać ze sobą. A było o czym pogadać. O śmierci rabina i jego wędrówce na tamten świat. O tym, jak go tam przyjmą i kto go powita.

Szumlik wiedział wszystko. A opowiadał, jakby był przy tym. Wyszło na to, że rabin w ogóle nie umarł. Przeniósł się tylko na inny, lepszy świat. Tam już czekano na niego z Lewiatanem, z Szor Haborem, z winem przechowywanym, z wszystkimi innymi przysmakami raj. Tam dopiero użyje żywota. Nowego, szczęśliwego żywota we wspólnym raj. Razem z takimi osobistościami, jak Abraham, Izaak i Jakub, cnotliwy Józef, Mojżesz i Aaron, król Dawid, król Salomon

i prorok Eliasz, RaMBaM, Baal Szem Tow i rebe z Ryżyny. Szmulik przedstawił ich w sposób niesłychanie wyrazisty. Jak żywi jawili się przed oczyma Szolema. Widział ich twarze, widział ich postacie. Oto nasz praojciec Abraham, starzec z białą brodą, Izaak wysoki i chudy, Jakub chorowity, Józef krasawiec³³, Mojżesz niskiego wzrostu o szerokim czole, Aaron, dla odmiany wysoki o długim czole, król Dawid ze skrzypcami w ręku, król Salomon w złotej koronie, prorok Eliasz, biedny Żydek, RaMBaM Majmonides, elegancki, z okrągłą brodą, Baal Szem Tow, prosty Żyd ze zwykłym kijem w ręku, rebe z Ryżyny, postawny Żyd w jedwabnej kapocie...

I człowieka ogarniała przemożna chęć spotkania się z nimi wszystkimi. Po prostu chciało się razem z nimi przebywać w raju. Razem z nimi zakosztować mięsa z Lewiatana i Szor Habora. Łyknąć choć kropelkę wina przechowywanego. Doprawdy, można było pozazdrościć rabinowi używania na tamtym świecie. Zupełnie zapomnieli, że dopiero co włożono go do ciemnego i ciasnego grobu, że go zasypano lepką czarną ziemią, którą ubito za pomocą drewnianych łopat. Nie pamiętali, że sam Szmulik odmówił po nim *Kadisz*³⁴. Rabin bowiem nie miał, aby nie było to waszym udziałem, własnych dzieci.

³³ *krasawiec* (daw.) – piękny. [przypis edytorski]

³⁴ *Kadisz* – powszechna modlitwa codzienna, także modlitwa za zmarłych (kadisz sierocy); również potoczne określenie syna odprawiającego *Kadisz* w intencji zmarłych rodziców. [przypis tłumacza]

7. Szmulik znika

Dawid rozstaje się z Jonatanem. Tajemniczy skarb.
Utracony przyjaciel

Przez cały tydzień, podczas gdy żona rabina odbywała pokutę po zmarłym, Szmulik błąkał się po mieście. Był samotny samotnością sieroty, który jeszcze bardziej został osierocony. Z utęsknieniem wypatrywał wieczoru, kiedy zwolnią chłopców z chederu. Wtedy mógł zobaczyć się ze swoim przyjacielem Szolemem, synem Nachuma, który po śmierci rabina jeszcze bardziej się do niego przywiązał. Wychodziło na to, że dwaj zakochani w sobie przyjaciele, „Dawid i Jonatan”, będą musieli się rozstać. Jak to się stanie, sami jeszcze nie wiedzieli. Zresztą nie chcieli wiedzieć. Dlatego też wykorzystywali każdy wieczór, aby przebywać razem. Ich szczęście, że było lato. Latem wieczory są wolne od nauki w chederze. Można więc pójść do sadu Nachuma, ojca Szolema, i tam pod gruszą spędzić na rozmowie godzinę, dwie lub nawet trzy. A jeśli nie w sadzie, to można wyjść z miasta i udać się spacerkiem hen, daleko, za młyny. Trzeba tylko uważać, aby szejgece nie napadli na nich, aby nie napuścili psów na „przeklętych Żydów”.

Tam, za młynami, obydwaj przyjaciele, Szmulik sierota i Szolem, syn Nachuma mogli nagadać się do syta. A było o czym mówić. Jedno ich zajmowało: co będzie dalej? Co będzie,

jeśli Szmulik wyjedzie? Słyszał bowiem Szmulik, że rabinowa ma zamiar przenieść się do miasteczka gdzieś w chersońskiej guberni. Ma tam siostrę, a ta jej pisze, żeby do niej przyjechała. A skoro rabinowa jedzie, więc Szmulik też jedzie. Co tu będzie robił sam? Przecież nawet nie ma gdzie głowy położyć.

No jasne, na długo nie jedzie. W każdym razie nie na zawsze. Niech tylko przybędzie na miejsce, to zaraz weźmie się do Kabały i gdy tylko posiadzie jej tajemnicę, natychmiast wraca do Woronki i zabiera się do roboty. Odszuka skarb. Odbędzie czterdzieści postów. Codziennie odmówi czterdzieści rozdziałów *Psalmsów*, a po czterdziestu dniach wymknie się potajemnie, by nikt nie widział, stojąc na jednej nodze odliczy do czterdziestu, dokładnie przez czterdzieści minut, z zegarkiem w rękę.

– Gdzie masz zegarek?

– Teraz nie mam, ale wtedy będę miał.

– Skąd weźmiesz?

– Skąd wezmę? Ukradnę! Co cię to obchodzi?

Szolem patrzy w oczy Szmulikowi. Boi się, czy go jakimś słowem nie uraził. Gotów jeszcze, nie daj Bóg, pogniewać się. Szmulik jednak nie należy do tych, u których przez jedno słowo można wszystko stracić. I nie przestaje opowiadać. Mówi o tym, co nastąpi, gdy obaj przyjaciele dorosną. O tym, co będą razem wyprawiali w ich mieście Woronce i jak uszczęśliwią miejscowych Żydów. I płyną z jego ust słowa czyste jak oliwa. Snują się te opowieści i ciągną niczym pasemka miodu. I nie chce się w tę piękną, ciepłą, letnią noc wracać do domu. Ale trzeba

ić spać. Inaczej można w domu oberwać. Więc chłopcy żegnają się: – Do jutra, do jutra!

Minał dzień i następny, a po nim jeszcze jeden, a Szmulika nie ma. Gdzie jest Szmulik? Wyjechał. Zabrał się razem z wdową po rabinie i pojechał do guberni chersońskiej. Jak to? Kiedy? Nie pożegnał się nawet?...

Przyjaciół Szmulika, Szolem, poczuł się nagle zagubiony. Był wytracony z równowagi. Pozostał samotny jak kamień w polu. Jego najlepszy, najukochańszy, najdroższy druh wyjechał. Ciemności zakryły mu cały świat. Ale co tam świat, gdy nie ma Szmulika. I opuszczony samotny przyjaciel poczuł naraz, że robi mu się jakoś dziwnie ciasno w krtani. Poczuł swędzenie w nosie i ucisk na sercu. Ruszył przed siebie i w jakimś cichym zakątku długo, długo płakał.

Jak sądzicie, czy Szmulik żyje jeszcze? Ten młodzieniec o oczach marzących, ten wygadany chłopak, który potrafił mówić pięknie i wdzięcznie, a jego słowa płynęły i ciągnęły się jak nitki złocistego miodu? Gdzie on jest? I kim jest? Może jest teraz magidem³⁵? Może rabinem? Nauczycielem? Kupcem? Kramarzem? Maklerem? A może biedakiem, ostatnim nędzarzem? A może zaniósł go do krainy złota, do Ameryki, i używa życia? A może leży tam, gdzie i my położymy się kiedyś, a robaki będą nas jadły. Jeżeli tak, to oby dopiero po stu dwudziestu latach.

Kto by coś wiedział, kto by coś o nim słyszał, niech się

³⁵ *magid* – kaznodzieja. [przypis tłumacza]

odezwie.

8. Meir Medwedewker

Nowy kolega, który umie śpiewać. Chłopcy z chederu organizują teatr. Z bosego urwisa wyrasta sławny artysta

Nie musiał długo żałować Szmulika jego wierny kolega i przyjaciel. Bóg go wysłuchał i zesłał mu nowego kolegę. A było to tak: Z chwilą, gdy stary rabin umarł, miasteczko pozostało bez duchowego przywódcy. Dlatego też Nachum, syn Wewika, zostawił wszystkie swoje interesy i pojechał do innego miasteczka, a mianowicie do Rokitna, skąd rozchodziły się wieści na cały świat, że mieszka tam rabin-znakomitość. Nazywa się Chaim Medwedewker. Tego to rabina Nachum, syn Wewika, sprowadził do Woronki. Miasto nie mogło się nim nacieszyć. Był bowiem nie tylko uczony w *Piśmie*, był nie tylko wzorem bogobojności i specem od śpiewu synagogalnego, ale też wielkim biedakiem. Przeto za jednym zamachem mógł dodatkowo uczyć dzieci zamożniejszych obywateli. Mimo to jednak nie zrezygnowano całkowicie z usług mełameda Zurechla. Nie można przecież, ot, tak sobie, pozbawić człowieka zarobku. Pozostał więc reb Zurechl mełamedem od *Tanachu*³⁶ i sztuki pisania (po żydowsku, rosyjsku, niemiecku, francusku i łacinie, której zresztą nie rozumieli ani w ząb zarówno mełamed, jak

³⁶ *Tanach* – nazwa *Biblii*, skrót utworzony od słów: *Tora*, *Newiim* (*Prorocy*) i *Ketuim* (*Pisma*). [przypis tłumacza]

i dzieci), zaś *Gemary* uczono się u nowego rabina. A chociaż Szolem, syn Nachuma, syna Wewika, nadal był łobuziakiem i nadal nie miał zamiaru podrosnąć choć trochę, skierowano go jednak do wyższej klasy. Stało się tak, bowiem nowy rabin przeegzaminował go z rozdziału *Pięcioksięgu* i z komentarzy Rasziego. Był widocznie zadowolony, bo uszczypnął Szolema w policzek i rzekł: – Fajny łobuziak. – Ojcu zaś powiedział, że byłoby grzechem pozostawić takiego szkoca³⁷ na suchym *Tanachu*. Trzeba go wziąć do *Gemary*. To mu nic a nic nie zaszkodzi. Ojciec oczywiście był wniebowzięty. Sam szkoc nie był specjalnie z tej *Gemary* zadowolony. Rozpierała go za to duma, iż oto siedzi w jednej ławce ze starymi. Pysznił się, zadzierał nosa. Toć nie bagatela!

Przybył reb Chaim, rabin z Rokitna, nie sam. Sprowadził dwóch synów. Jeden, już nieco podtatusiały, miał coś w rodzaju guzika na gardle. Nazywał się Abraham. Obdarzony dobrym głosem, mógł już z powodzeniem prowadzić modły jako kantor. Drugi syn, Meir, miał tylko ładny głos do śpiewu i również guzik na gardle, ale do nauki brakowało mu zdolności. Kapuściany łeb. Może nie tyle łeb kapuściany, co urwis, szejgec. Z nim to Szolem, syn Nachuma, syna Wewika, szybko się zaprzyjaźnił. Chłopak z Rokitna i syn rabina to partner nie lada! Poza tym miał jeszcze inne zalety: śpiewał piosenki, i to jakie! Miał również wadę – typowy nawyk prawdziwego artysty – nie lubił śpiewać za darmo, dla samego śpiewu. Chcesz posłuchać śpiewu? Bardzo proszę,

³⁷ *szkoc* (l. mn. od *szejgec*) – hultaj. [przypis tłumacza]

płać. Jedna piosenka – jedna kopiejka. Nie masz kopiejki? Może być jabłko. Od biedy pół jabłka, parę śliwek, kawałek cukierka. Za darmo nie ma nic! Za to śpiewał takie cudowne piosenki i tak słodkim głosem, z takim uczuciem, że dzisiejsi Sabinowie, Caruzowie, Szalapiny i Sirotki oraz wszyscy pozostali wielcy śpiewacy świata mogli się przy nim schować.

Wychodzę ci ja na ulicę Wileńską
I słyszę głos, i słyszę krzyk —
O wej!...
To płacze ktoś!...

Wszyscy chłopcy są zasłuchani, zapatrzeni, zafascynowani. Umierają z zachwytu, a on nic! Josele Sołowiej³⁸! Cóż dopiero niektóre śpiewane przez niego fragmenty modlitwy. Pewnego razu, kiedy rabin, jego ojciec, reb Chaim, wyrwał się na chwilę z domu, Meir stanął twarzą do ściany, zarzucił obrus na siebie, nastawił gardło niczym chazen i zakrzyknął słowami z modlitwy *Selichot*³⁹: – *Ejl melech jojszew*⁴⁰ – szybko i głośno: – *Wajikro beszejm*⁴¹. – I wtedy wszedł rabin. Co to jest? Będziesz mi tu odstawiał kantorskie kawały? Ano, heretyku, kładź się na

³⁸ *sołowiej* (ros.) – słowik. [przypis edytorski]

³⁹ *Selichot*(*Sliches*) – prośby o odpuszczenie grzechów odmawiane od Rosz Haszana do Jom Kipur. [przypis tłumacza]

⁴⁰ *Ejl melech jojszew* (hebr.) – „Bóg, król zasiadający”. Fragment modlitwy. [przypis tłumacza]

⁴¹ *Wajikro beszejm* (hebr.) – „I zawołał w imieniu”. [przypis tłumacza]

ławeczkę, ot tak, no. I zaczyna się egzekucja.

Nie tylko śpiewem wyróżniał się Meir Medwedewker. Posiadał jeszcze jedną słabość. Lubił grać, odstawiać kogoś, udawać kogoś lub coś. Przedstawiał „Sprzedanie Józefa”, „Wyjście z Egiptu”, „Dziesięć plag”, „Mojżesz z tablicami dekalogu” i wiele innych podobnych scen. Kiedyś na przykład przebrał się za rozbójnika. Wziął do ręki dużą łagę, tasak rabinowej wsadził za pas rabinackiej kapoty i boso paradował w podkasanych spodniach. A oczy, Boże jedyny, miał właśnie jak u zbója. Szolem, syn Nachuma, był za biedaka z grubym kijem w ręku. Na plecach miał poduszkę zamiast garbu. Czapkę przewrócił na drugą stronę i włożył ją na głowę. Chodził po proście. Zabłądził w lesie. Las udawali chłopcy. I Szolem, syn Nachuma, odstawiał biedaka. Krążył wśród drzew. Opierał się na swoim grubym kiju. Szukał drogi i raptem napotkał rozbójnika. Ten wyciąga zza pasa tasak i śpiewa piosenkę, i to po rosyjsku, którą kończy takimi słowami:

Dawaj die-e-engi⁴²,
dawaj die-e-engi!

Błaga go biedak, nieborak Szolem, ze łzami w oczach. Prosi, aby zlitował się, jeśli nie nad nim, to przynajmniej nad jego żoną i dziećmi. Ona zostanie wdową a dzieci sierotami. Chwyta go rozbójnik Meir za gardło i rzuca na ziemię. Wtedy zjawia się

⁴² *diengi* (ros.) – pieniądze. [przypis edytorski]

akurat rabin i zaczyna się wesele:

– Dość, że ten – wskazuje na swego syna – to jest szejgec, łobuz, odstępcza, renegat, ale ty, chłopiec Nachuma, syna Wewika, gdzie tobie do niego? Skąd on do ciebie?

Rabin Chaim był widocznie prorokiem. W wiele lat później jego Meir, który stał się tymczasem sławnym aktorem, zmienił, jak się to mówi, skórę, wychrzczył się. Trzeba jednak podkreślić, że jak najlepszy Żyd wypełnił uczciwie przykazanie o szacunku należnym ojcu. Zrobił to doprawdy wspaniale. Kupił mianowicie swemu staremu i biednemu ojcu mieszkanie w Rokitnie i obsypał go złotem. Przyjeżdżał do niego w odwiedziny każdego lata. Przywoził podarunki dla całej rodziny, a stary reb Chaim, który nie wiedział, jakiego to psikusa wykręcił mu syn, aby uzyskać tytuł aktora Teatrów Imperatorskich, miał szczęśliwą starość. My jednak musimy wrócić do czasów jego dzieciństwa, kiedy to Meirowi Medwedewkerowi jeszcze nie śniło się nawet, że kiedyś będzie się nazywał Michaił Jefimowicz Miedwiediew, że będzie o nim głośno, że wstrząśnie światem.

9. Jeszcze jeden utracony przyjaciel

Uczę się kraść. Dzień żałoby w sadzie popa. Kara

Nie ma nic dziwnego w tym, że te dwa chłopaczyska, Meir Medwedewker i Szolem, syn Nachuma, zwiążali się węzłami przyjaźni tak mocno, że stanowili jedno ciało i jedną duszę. Było coś pokrewnego w ich duszach. Obaj wierzyli, że kiedyś wyjdą na ludzi. I przecucie ich nie omyliło. W jakieś dwadzieścia lat po tym, gdy doszło między nimi do spotkania, a działo to się w Białej Cerkwi, w kijowskiej guberni, jeden z nich był już sławnym aktorem Miedwediewem, a drugi pisywał felietony w „Jidisze Fołksblat” pod pseudonimem Szolem Alejchem.

Wróćmy jednak do czasów ich dzieciństwa, gdy jeden nazywał się Meir Medwedewker, a drugi Szolem, syn Nachuma, syna Wewika, gdy razem, jak wszyscy chłopcy z Woronki, spacerowali na bosaka po jej ulicach. I trzeba wyjawić całą prawdę, że obaj przyjaciele nie przejawiali specjalnego entuzjazmu do nauki, którą ładował w nich reb Chaim Medwedewker. Nie okazywali też zbytniego zapału do pobożności, którą reb Chaim starał się w nich zaszczepić. Mieli ochotę na coś zupełnie innego. Na przykład na zrywanie jeszcze zielonego agrestu z krzaków, gruszek i śliwek z drzew własnego lub cudzego sadu. To dostarczało im znacznie więcej przyjemności niż ślęczenie nad *Gemara* albo zatopienie się w

modlitwach na serio lub odmawianie psalmów, jak tego żądał od swoich uczniów reb Chaim.

– *Gemara* nie zając, nie ucieknie. Modlitwę Bóg wybaczy, a psalmy niech odmawiają starzy Żydzi!... – Meir Medwedewker tłumaczył Szolemowi. Wolał nauczyć go, jak jednym susem wleźć na najwyższe drzewo albo w podskoku uchwycić gałąź obsypaną czereśniami. Wtedy czereśnie same wpadały do ust. Nic to, że wargi robiły się czarne, a po śladach na palcach można wykryć, kto zrywał czereśnie. Nic strasznego. Najwyżej dostanie się lanie. Też mi kara! Dostać lanie w chederze to zwykła rzecz. Tak zwykła, że chłopcy nie czuli żadnego wstydu z tego powodu. Nie mówię już o bólu. Co w tym strasznego, że dostaje się od rabina parę razów. Do wesela się zagoi. Wstyd to był tylko dla młodzieńca już zaręczonego. A i on bał się tylko, aby nie dowiedziała się narzeczona. Może nie tyle narzeczona, co jej koleżanki. Mogły z niej wówczas podworować: – Narzeczony z obitym siedzeniem!

Meir nie był jeszcze zaręczony, więc tego rodzaju obawy odpadały. Prowadził zatem swego kolegę Szolema po „drodze sprawiedliwej”. Uczył go, w jaki sposób skrócić odmawianie modlitw, jak pod nosem matki wynosić ze sklepu chleb świętojański, cukierki, ciasteczka dla gojów i wiele innych dobrych rzeczy. Nie znaczy to wcale, że uczył go kraść. Broń Boże! Uczył go tylko, jak „przyswoić”. Za to na tamtym świecie nie karze się.

Wszystko to uszłoby im na sucho, gdyby Meirowi nie

przydarzyło się nieszczęście. Traf chciał, że pewnego dnia przesadził płot, wlaź do sadu popa i narwał pełną bluzę gruszek. Zauważyła to córka popa. Wybiegł pop z psem i złapał go. Pies podał mu, za przeproszeniem, spodnie, a pop zerwał Meirowi z głowy czapkę i kazał mu iść, gdzie oczy poniosą. Nie byłoby w tym większego nieszczęścia, gdyby to nie stało się dziewiątego dnia miesiąca Aw⁴³. No bo jak? Wszyscy Żydzi chodzą w pończochach, żalą się i płaczą z powodu zniszczenia Świątyni Pańskiej, a on – synalek reb Chaima – paraduje bez czapki na głowie i do tego w podartych spodniach!

Egzekucji biednego młodzieńca nie da się opisać, zwłaszcza dziś, w okresie wielkiego postępu. Ale nie to jest istotne. Najważniejsze, że trzeba było zabrać Szolema z klasy rabina. W ślad za Nachumem, synem Wewika, inni rodzice również zabrali swoje dzieci. I biedny reb Chaim został bez uczniów. Kantorowanie i rabinowanie dawało mało dochodu. Zmuszony był przeto znowu przenieść się do Rokitna. Miasteczko pozostało bez rabina.

Ale nie smućcie się. Nie na długo. Nachum, syn Wewika, sprowadził nowego rabina z Baryszpola. Nazywał się Szmuel Elijahu. Był to młody człowiek, bardzo wykształcony. Umiał uczyć i umiał śpiewać. Grał w dodatku w szachy, co świadczyło o jego zdolnościach. Miał tylko jedną wadę, ten Szmuel Elijahu. Był trochę intrygantem i wazeliniarzem. Lubił flirtować z młodymi kobietami, gdy nikt nie widział.

⁴³ Aw – miesiąc lipiec-sierpień. [przypis tłumacza]

I tak utracił nasz bohater drugiego przyjaciela.

10. Kolega Sirko

Pies mądry i grzeczny. Przyjaciele zwierząt.
Metamorfoza. Wierny przyjaciel

Sądzę, iż na podstawie imienia nietrudno domyślić się, że Sirko nie był człowiekiem; był psem – zwykłym, zwyczajnym psem o szarej sierści. Stąd jego imię – Sirko. Powiedziałem „zwyčajny pies”, ale muszę natychmiast sprostować. Nie, nie był to zwyczajny pies, jak się zaraz przekonacie. Ale najpierw garść danych z jego życiorysu. Skąd do Żydów pies? Oto historia:

Kiedy Nachum, syn Wewika, przeniósł się do miasteczka i przejął pocztę, był tam na podwórzu pies Sirko. Bardzo jeszcze młody pies, ale rozumny – prawdziwy mędrzec. Tak dalece mądry, że szybko poznał nowych gospodarzy. To po pierwsze. Po drugie, okazywał szacunek Żydom. Nie zaczepiał ich pod żadnym pozorem, jak to czynią inne psy. Nie miał przyrodzonego nawyku psów, które jak tylko zobaczą długą kapotę, to zaraz wpadają w morderczy szał...

Jasne, że z nowymi gospodarzami Sirko nie miał żadnych wspólnych interesów. Nie zaglądał nawet do ich mieszkania. Widocznie dano mu od razu na początku do zrozumienia za pomocą kija, że do żydowskiego mieszkania pies nie powinien wchodzić. Nie miał też prawa przestąpić progu kuchni. Fruma, dziewczyna ze ślepym oczkiem, „odseparowała” go od kuchni

garnkiem ukropu, który wylała nań pewnego razu w wigilię soboty. Oblała go celowo, choć bez złości, i śmiała się przy tym. Dość, że porządny kawał skóry na jego grzbiecie ugotował się.

Ach, ta Fruma! Serce tatarskie miała ta dziewczoja. Nie znosiła widoku psa ani kota. Ze łzami w oczach udało się kiedyś Szolemowi wyratować z jej rąk kota, którego przywiązała do nogi stołu i kijem od miotły okładała go tak bezlitośnie, że zwierzę darło się wniebogłosy.

– Frumeczko, serdecznie kochana Frumeniu, co ty robisz? Miej litość nad stworzeniem. Bóg cię ukarze. Bij lepiej mnie. Wal we mnie. Oszczędź kota! – błagał ją Szolem i nadstawił plecy do bicia. Despotyczna dziewczyna sama wreszcie spostrzegła, iż zbyt okrutnie obeszała się z kotem. Oblała więc go zimną wodą i ledwo udało jej się pólżywe stworzenie jako tako przywrócić do życia. A jak sądzicie, o co poszło? O głupstwo. Frumie zdawało się, że „łakomczuch” (tak nazywała kota) coś tam złapał. Albowiem oblizywał się. A czego to, ni z tego, ni z owego, kot się oblizuje? Fruma podejrzewała wszystkich i każdego z osobna. Jeśli kot, to z całą pewnością łakomczuch, jeśli pies, to bies, jeśli goj, to złodziej, a jeśli dziecko, to świnia. I tak po kolei wszystkich. Cały świat. Wracajmy jednak do psa Sirki.

Wypędzony w tak paskudny sposób z domu i z kuchni, każdy pies na jego miejscu wyniósłby się całkiem z podwórka: – A żyjcie sobie sto dwadzieścia lat! – Nie, Sirko należał do innego gatunku. Gdyby nawet wiedział, że czeka go na podwórku śmierć, nie ruszyłby się z miejsca. Tu się urodził i tu

zdechnie... Zwłaszcza że miał za sobą dobrych mecenasów – dzieci gospodarza. Znalazł uznanie w ich oczach, spodobał się, mimo że Fruma usilnie starała się go obrzydzić.

Wiele psów życzyłoby sobie mieć taki wikt i taką „posadę” jak Sirko. Wszystko co najlepsze, co najsmaczniejsze przynosiły mu dzieci w kieszeniach. Oczywiście potajemnie. Nikt nie miał prawa tego widzieć. Nie powinien nawet domyślić się. Inaczej mogłoby to źle się skończyć dla obu stron. Sirko wiedział już doskonale, o której godzinie otrzyma śniadanie, kiedy obiad i kiedy kolację. Pilnie wtedy wypatrywał tych, którzy mieli mu przynieść te pyszności. Wiedział nawet, co u kogo i w jakiej kieszeni. Obwąchiwał kieszeń i pchał do niej swoją mordę. Słowem, pies-mędrzec.

Cóż dopiero sztuczki, jakich nauczyli go chłopcy! Kładli mu na koniuszek nosa tłustą kość albo kawałek chleba i nakazywali: – Nie rusz! (z psami zwykle rozmawia się po gojsku). – I pies czekał z należyтым szacunkiem, dopóki nie usłyszał nowego rozkazu „ham”. Wtedy podskakiwał do góry i było po wszystkim.

Zimą, wieczorową porą, gdy chłopcy przebywali w chederze, Sirko nie mógł doczekać się ich powrotu. Zwykle już o godzinie dziewiątej wyrastał pod oknem chederu. Łapami zaczynał skrobać w zamazane szyby, znak, że pora zamknąć księgi i iść do domu na kolację. Dla mełameda Sirko był, nie przymierzając, zegarem. – Nie inaczej – powiadał mełamed – jak tylko to, że wasz pies przeszedł metamorfozę: był człowiekiem w poprzednim wcieleniu. – Po czym rebe zwalniał dzieci, które

brały swoje papierowe latarki i hurmem ruszały do domu śpiewając wesołe, junackie i żołnierskie pieśni:

Raz, dwa, tri, czetyre!
Pajdiom, pajdiom na kwartire!
Achter, bachter, kołoszka
Wosiem diengi, raboszka!

albo:

Pora, pora!
Pora wybiratsia!
I so wsiemi gospodami
Razpraszczatsia – pora!

Sirko biegł naprzód. Z wielkiej radości skakał i tarzał się po śniegu. A wszystko z powodu tych kawałków chleba i tłustych kosteczek. Pies na schwał!

Ilekoć robiło się ciężko na sercu, ilekoć duszę ogarniał smętny żal, ilekoć w domu oberwał lanie, zaś poprawiny w chederze, tylekoć Szolem, syn Nachuma, uciekał w głąb sadu, w najdalszy zakątek po drugiej stronie ostatniego szeregu drzew. Towarzyszył mu wtedy Sirko. Tam, za parkanem, na kopcu śmieci, siadał wraz ze swoim wiernym psem. Pies wyciągał pysk i patrzył mu prosto w oczy niczym człowiek, który zgrzeszył. Dlaczego tak patrzy? O czym wtedy myśli? Czyżby rzeczywiście rozumiał wszystko jak człowiek? Czyżby też miał, nie

przymierzając, jak człowiek duszę? I Szolemowi przypominają się słowa rebego: „Ten pies jest przykładem metamorfozy, w poprzednim wcieleniu był człowiekiem”. Przypomina sobie raptem słowa króla Salomona z *Księgi Koheleta*: „Nie ma różnicy między człowiekiem a zwierzęciem”. „Jeśli nie ma różnicy, to dlaczego on jest psem, a ja człowiekiem?” – tak sobie wówczas myśli i jednocześnie oczyma pełnymi litości i szacunku patrzy na psa. Pies przyjaciel! Drogi, wierny przyjaciel – Sirko.

11. Tragedia Sirki

Nieczne oszczerstwo. Śmierć niewinnego psa. Gorące łzy

Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że Sirko był mędrcom. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, kto go najbardziej kochał, i nie dziw, że Sirko najmocniej przywiązał się do autora tych słów. Zawarł z nim przyjaźń. Kochał go. Gotów był poświęcić się za niego, za swego przyjaciela i pana. Nieme stworzenie nie mogło tego wyrazić słowami. Przejawiało to tak, jak tylko pies potrafi. Sirko skakał wokół Szolema, piszczał z uciechy i tarzał się po ziemi. Jedno słowo przyjaciela i pana: – Na miasto!⁴⁴ – wystarczyło, aby Sirko uspokoił się natychmiast. Kładł się, leżał cichuteńko jak kotek i tylko łypał oczkami, aby widzieć, co robi jego pan.

Między panem a jego sługą Sirką nawiązała się cicha miłość. Pan w żaden sposób nie mógł sobie wyobrazić, co będzie, jeśli zabraknie Sirki. Jak to? Czy może być tak, aby Sirki nie stało? Czy to możliwe? Czy Sirko jest człowiekiem, który nagle wyjeżdża bez pożegnania? Ileż to razy chłopci usiłowali zwabić Sirkę do siebie na wieś, a ten nazajutrz przylatywał zasapany, z wywinętym jęzorem, i rzucał się z radości do nóg swemu panu. Skakał, tarzał się po ziemi. Piszczął radośnie i oblizywał kołnierz Szolema. Można przysiąc, że w jego oczach pojawiały się łzy.

⁴⁴ *na miasto!* (znieksz. ros.) – na miejsce! [przypis edytorski]

A mimo to nastąpił taki dzień, taki smutny przeklęty dzień, gdy wierny Sirko odszedł. Odszedł na zawsze, zniknął na wieki. A odszedł niespodziewanie, w okolicznościach żałosnych, w okolicznościach tragicznych.

Stało się to latem, w upalny dzień lipcowy. Było straszliwie gorące lato, bez kropli deszczu. Ludzie dosłownie umierali ze spiekoty. A że w takie upały psy wściekają się, o tym zapewne wiecie. I gruchnęła wieść po miasteczku, iż jakiś pies wściekł się i pogryzł kilka innych psów. Nie wiadomo które. I strach padł na mieszkańców miasta. Postanowiono zastosować środki zapobiegawcze, aby uchronić dzieci przed ewentualnym pogryzieniem przez wściekłego psa. Polegały one na tym, że wszystkie dzieci z miasteczka odprowadzano do starego Trofima. Był to goj, znachor, miał „ostre paznokcie”. Tymi pazurami potrafił „zdjąć” spod języka „niebieskie pieski”. A robił to tak sprawnie, że nikt nic nie czuł, choć operacja była niebezpieczna, choć do przyjemnych z pewnością nie należała. Pomyślcie tylko! Jakiś goj wpycha wam w usta swoje pazury i szuka pod waszym językiem jakichś tam niebieskich piesków...

Następnie zabrano się do wszystkich psów w mieście. Sprowadzono, Bóg wie skąd, dwóch kacapów⁴⁵, dwóch hycli uzbrojonych w grube lagi o żelaznych zaczepach. I hycle przystąpili do pracy. W ciągu jednego dnia kaci owi położyli trupem kilkadziesiąt psów. Na oko potrafili ocenić, który pies jest wściekły, a który zdrowy. Kto mógł przypuszczać, że fatalny

⁴⁵ *kacap* (pogardl.) – Rosjanin. [przypis edytorski]

los dosięgnie również dobrego, mądrego, grzecznego Sirkę? Widocznie kacapy otrzymywali swoją zapłatę stosownie do ilości zabitych psów. Jeśli tak było rzeczywiście, to bardzo możliwe, że były wśród nich niewinne ofiary. Do tych w pierwszym rzędzie należał Sirko.

O całym tym nieszczęściu dzieci dowiedziały się po fakcie, gdy powróciły z chederu do domu. Z miejsca podniosły gwałt. Jak to? Za co Sirko? Jak można było do tego dopuścić?

Jasne, że gwałt ten odcisnął się gwałtem. Jak to? Jak śmieją dzieci chederowe zaprzętać sobie głowę psami? I dostały porządne lanie. Na dodatek podstawili im stołeczek u mełameda. Poprosili go, aby nie żałował różg. Oj, nie żałował! Wszystko to jednak nie znaczyło nic w porównaniu z tym, że Sirko zginął niewinnie.

Najbardziej przybity był pan Sirki, autor tych wspomnień. Przez kilka dni nie jadł. Przez kilka nocy nie spał. Przewracał się z boku na bok. Wzdychał i stękał. Robił to oczywiście po cichutku. Nie mógł wybaczyć tym złym ludziom, którzy nie mają w sobie krzty litości dla żywych istot. Nie mają w sobie sprawiedliwości. Głęboko zaczął zastanawiać się nad różnicą między mądrym psem a, nie przymierzając, człowiekiem. Dlaczego pies jest człowiekowi wierny, a człowiek dla psa bywa katem? I wtedy staje mu przed oczyma Sirko ze swoimi mądrymi, dobrymi oczyma. Na ten widok zwała się na łóżko, przyciska twarz do poduszki i zalewa się gorzkimi łzami.

12. Instynkt dobra i instynkt zła

Perkаты Ojzer. Morały. Nadmiar opiekunów.
Moralizator i kaznodzieja

Na wypadek gdyby chłopak zapomniał, że kiedyś miał psa, ludzie na każdym kroku przypominali mu o tym: – Sirko kazał ci się kłaniać! – I przy tej okazji nie omieszkali prawić morałów. Niech sobie na przyszłość zapamięta. Te morały były dla chłopca bardziej dotkliwe niż bicie. Nie na próżno kursuje powiedzonko: „Ból przemija, słowo trwa”. Zwłaszcza że tu w grę wchodziły i razy, i słowa. A słowa sypały się zewsząd. Kto tylko Boga w sercu miał, ten karcił. I pouczał. Powiedziałyby ktoś, co ma wspólnego zwykły żydowski szames⁴⁶ z synem miejskiego bogacza, co z tego, że synek bogacza akurat w czasie modlitwy wygląda przez okno? A wy sądzicie, że synek bogacza ot tak sobie bez przyczyny wygląda przez okno? Może sobie odchodzić modlitwa i może to być najważniejszy ustęp tej modlitwy, a mimo to warto obejrzeć rzadko widzianą scenę.

Warto dobrze jej się przyjrzeć i wyciągnąć odpowiednie wnioski. Oto pies goni kota. Kot napuszył się i leci jak strzała. Pies za nim. Kot przez rynsztok⁴⁷ na dach. Pies wysiada. Stanął jak głupi. Oblizuje się i zapewne tak sobie myśli: „A po kiego

⁴⁶ *szames* – posługacz w bóżnicy. [przypis tłumacza]

⁴⁷ *rynsztok* – otwarty kanał ciągnący się wzdłuż ulicy. [przypis edytorski]

licha ja, pies, mam się uganiać za byle kotem, który nie umywa się do mego rodu, i co ja na tym dachu miałbym robić”?

– To tak uważa się podczas modlitwy? – Szames Mejlech wali go po karku. – Poczekaj, łobuzie, już ja twemu ojcu wszystko powiem.

Albo, co na przykład może obchodzić perkatego łaźiebnego (Ojzer był kiedyś szewcem, ale na stare lata całkowicie osłabiony wynajął się za łaźiebnego), że synowie Nachuma, syna Wewika, zjeżdżają z górki na własnych tyłkach i wycierają sobie przy tym spodnie? Musiał to akurat zauważyć łaźiebny Ojzer! Wyskoczył z łaźni i dawaj na nich ryczeć przez nos:

– Bękarfy! Hulfaje! – Nie wymawiał litery „t”. – Niech szlag frafi waszego fafę i mafkę. Nowe spodnie bierzecie i niszcycie je, marnofrawcy! Zaraz pobiegnę do waszego chederu i podsfawię wam u rebege sfołek.

Podstawić stołek to nie tylko dobry uczynek. To obowiązek, który każdy Żyd powinien spełnić. Albowiem każdy Żyd ma dzieci i nikt nie może zaręczyć, że wyrosną z nich porządni ludzie. Dlatego trzeba na nie uważać i jeśli nie można rękoma, to przynajmniej językiem trzeba im pomóc. Z tego to powodu dzieci miały wielu wychowawców i opiekunów. Nasłuchały się też tylu morałów, tylu słów karcących, że aż szumiało im w uszach:

Żu, żu, żu – tego nie rób! Żu, żu, żu – tam nie stój! Tam nie chodź! Wszyscy „żużali”. Rodzice, siostry, bracia, rebe, służące, wujowie, ciotki, babcie, a szczególnie babcia Minda,

która zasługuje na specjalną wzmiankę.

Babcia Minda była wysoką postawną Żydówką. Schludna, elegancka i straszliwie pobożna. Jej zadaniem była opieka nad dziećmi i troska, aby przestrzegały przepisów religijnych. Wyglądała wnukom pejsy poślinionymi palcami i prasowała im ubranka, przysłuchiwała się ich modłom, odmawiała błogosławieństwa i czytała modlitwę *Kriat Szma*⁴⁸ przed snem. Za to wszystkie wnuki musiały przychodzić do niej w sobotę i składać jej życzenia. Rozsiadały się wówczas na ławce przy ścianie, siedziały i czekały, aż ona poczęstuje ich „owocami sobotnimi”. A owoce te rozdawała niezbyt hojną dłońią. Za to podawała je na czystych błyszczących spodeczkach. Jedno jabłuszko, daktyl, figę albo trzy, cztery wyschnięte rodzynki. A morałów przy tym prawiła bez liku. Nauka polegała na tym, że trzeba słuchać rodziców i wszystkich pobożnych Żydów. Trzeba być Żydem. Bóg wymierzy karę za każdy najmniejszy zmarnowany okrucuch chleba, za opuszczanie modlitw, za brak posłuszeństwa, za zaniedbanie nauki, za dokazywanie, a także za złe myśli i nawet za plamę na kapocie. Tak straszyla, że aż przestawały smakować jabłuszko, daktyl, figa albo te trzy wyschnięte rodzynki.

Ale czym były rodzynki babci w porównaniu z istną kopalnią nauk moralnych, które zaprezentował swoim uczniom rebe tej

⁴⁸ *Kriat Szma* a. *Krias Szma* – modlitwa odmawiana rano i przed snem. [przypis edytorski]

samej soboty, przed modlitwą *Mincha*⁴⁹? Wycisnął z ich oczu morze łez. Jak zwykle wyraźnie i obrazowo przedstawiał im instynkt dobra i instynkt zła, raj i piekło, anioły i otchłań od jednego końca świata do drugiego. Miliardy czartów, biesów i diabłów postawił przed oczyma swoich uczniów. Dostrzegł demony pod paznokciami dzieci. Zapewniał, że każdego czeka piekło. Jeśli nawet znajdzie się taki, który nie zgrzeszył, który uczciwie się modlił, uczył się *Tory*⁵⁰ i wypełniał wszystko, co mu instynkt dobra nakazywał, to jednak w tym samym czasie słuchał instynktu zła i grzeszył w myśli. We śnie na pewno myślał o takiej rzeczy, o której nie wolno było myśleć.

Słowem, nie było gdzie się ukryć przed lichem, przed instynktem zła. Choć weź i umieraj. A tu, na złość, właśnie chce się żyć. Chce się pofiglować, chce się śmiać, żreć łakocie. A co do modlitwy, to byle szybko ją odwalić, byle myśleć o takich rzeczach, o których nie wolno myśleć. To już była sprawka instynktu zła. Ten miał dosyć połańców i pomocników, aby wciągnąć niewinnego w sieć.

A jeśliś wpadł do zastawionej pułapki, to siłą rzeczy szedłeś już za instynktem zła jak ciele. Robiłeś wszystko, co nakazywał. A instynkt zła ma już taki fart, że jego słucha się chętniej niż instynktu dobra. Tu żadne morały nie pomogą. Przeciwnie. Im bardziej instynkt dobra stara się, tym energiczniej przeciwdziała

⁴⁹ *Mincha* – modlitwa popołudniowa. [przypis edytorski]

⁵⁰ *Tora (Tojre)* – *Pięcioksiąg*, w szerszym znaczeniu wiedza i nauka w ogóle. Także zwój przechowywany w Arce Przymierza. [przypis tłumacza]

instynkt zła. Strach pomyśleć, ale zdaje mi się, że gdyby nie było instynktu dobra, to instynkt zła nie miałby co robić.

13. Złodziejstwo, gra w karty i inne grzechy

Dzieci pomagają matce na targu. Karty z okazji święta Chanuka⁵¹. Berl, syn wdowy, uczy kraść. Wyrodny chłopak

Z dziećmi Nachuma, syna Wewika, instynkt zła obszedł się jak zbój. Nie dość, że urwisy skracaly modlitwy, ponad połowę zawsze przepuściły, a babcię okłamywały mówiąc, że dodatkowo odmówiły po kilka rozdziałów *Psałmów*, to jeszcze nauczyły się kraść. Obżerały się łakociami, grały w karty i popełniały wiele innych grzechów. Rozumie się, że to wszystko rozwijało się stopniowo. Jedno pociągało za sobą drugie. Tak, jak to napisano w *Piśmie*: „Grzech przyciąga grzech”.

Chyba wam już mówiłem o tym, że Żydzi z Woronki żyli z gojów⁵², a zwłaszcza z wielkich jarmarków, które nosiły nazwę krasnych targów. Na te jarmarki Żydzi zawsze czekali. Oblegali je tłumnie, zawierali transakcje, zarabiali ruble. Goje zaś robili swoje – kradli. Głównie zaś gojki. Nie można było przed nimi się ustrzec. Gdy zdołałeś wytrząsnąć z rękawa takiej gojki chustę albo wstążkę, druga w tym czasie zwędziła ci tuż przed nosem

⁵¹ *Chanuka* – święto upamiętniające wznowienie kultu religijnego w odnowionej Świątyni Pańskiej po zwycięstwie nad wojskami grecko-syryjskimi w 165 r. p.n.e. [przypis edytorski]

⁵² *goj* – nie-Żyd. [przypis edytorski]

świecę lub kawałek chleba świętojańskiego. Co można było zrobić?

Tu żona Nachuma, syna Wewika, Chaja Estera wpadła na pomysł. Rozstawiła swoich chłopców w sklepie. Mieli uważać, aby nikt nie kradł. A wierne jej bractwo doskonale wywiązywało się z tego zadania. Pilnie czuwało. Nie tylko napełniało sobie kieszenie chlebem świętojańskim, tytoniem, orzechami i śliwkami, ale też dorwało się do zielonej skrzynki, w której były pieniądze z utargu. Wystarczyło, żeby matka była zajęta przez chwilę klientką, a natychmiast para monet przenosiła się ze skrzyni do kieszeni. Z tym łupem bractwo udawało się do chederu, a po drodze zamieniało go na różne łakocie: ciastka makowe, groch, pestki albo... przegrywało w karty.

Gra w karty to była jakaś epidemia, która ogarnęła wszystkie chedery żydowskie. Zaczynała się w święto Chanuka i trwała przez całą zimę. Wiadomo, że w Chanukę gra się w karty. Co więcej, należy grać, bo to zbożny uczynek. Jeden gra w drejdl⁵³ (kwadratowy, oznaczony literami bąk), a drugi gra w karty. Oczywiście nie mamy na myśli prawdziwych kart, tych fabrycznie drukowanych. Chodzi o nasze, przez nas samych zrobione karty, żydowskie karty. Ale to wszystko jedno. Ten sam zły duch i ten sam hazard. Gdy nadeszło święto Chanuka, rebe nie tylko nakazywał nam grać w karty, ale sam brał udział w grze. A nawet był niezmiernie zadowolony, gdy udawało mu

⁵³ *drejdl* – bąk w kształcie czworoboku, którego boki oznaczono literami N, G, H, Sz; dzieci bawią się nim w święto Chanuka. [przypis edytorski]

się wygrać od nas wszystkie pieniądze, któreśmy otrzymali w prezencie z okazji święta, te tak zwane pieniądze chanukowe. Ale przegrać pieniądze chanukowe na rzecz mełameda należało do przyjemności. Było to pewnym zaszczytem, nawet radością. W każdym razie – lepiej przegrać u rebeego pieniądze chanukowe, niż dostać od niego lanie. Zdaje się, że każdy rozsądny człowiek to rozumie.

A gdy minęła Chanuka, skończyło się święto i skończyły się karty, rebe wówczas głosem surowym tak oto zapowiadał, nakazywał i przestrzegał: – *Hizoer wehiszomer*⁵⁴! Ktokolwiek ośmieli się wziąć karty do ręki lub tylko mówić o kartach, czy też myśleć o kartach, niech wie, że już przepadło. Niech zawczasu uważa się za obitego różgami.

Widocznie rebe za młodu sam był niezgorszym łobuzem. Przepadał chyba za kartami w święto Chanuka. Inaczej trudno byłoby sobie wytłumaczyć jego postępowanie. Jak by jednak nie było, jego uczniowie przez całą zimę rżnęli w karty. A czynili to z większym zapałem i bardziej hazardowo niż w czasie Chanuki. Przegrywano śniadania i obiady. Ofiarą padała groszowa gotówka. Gdy zabrakło pieniędzy, szukano na gwałt sposobów ich zdobycia. Jedni dobierali się do puszek rebeego Meira Cudotwórcy. Za pomocą słomki i wosku wydobywano pojedyncze grosze, żałosne grosze, które matka do niej wrzucała w piątkowe wieczory, przed błogosławieniem świec. Inni znów korzystali z tego, że posyłano ich po zakupy na targ i przy tej

⁵⁴ *Hizoer wehiszomer* (hebr.) – „Pilnuj się i wystrzegaj”. [przypis tłumacza]

sposobności urywali trochę „koszykowego”. Byli i tacy, którzy po prostu dobierali się do portmonetki ojca lub do kieszeni matki. Robili to w nocy, gdy wszyscy spali. Całemu temu procederowi towarzyszył strach. Ryzyko było ogromne. A cała zdobycz szła na karty.

Był tylko jeden problem. Kiedy i gdzie? I jak tu zagrać, żeby rebe nie dowiedział się o tym? A o to dbali już koledzy ze starszej klasy. Chłopcy na schwał. Tacy jak Eli, syn Kejły, młodzieniec dojrzały do żeniaczki, rudowłosy posiadacz srebrnego zegarka, i Berl, syn wdowy, taki sobie zwykły chłopak o grubych wargach i niezwykle mocnych zębach, zdolnych przegryźć żelazo. Już wtedy zaczęła mu się sypać bródka. A sam był temu winien. Palił papierosy. Tak przynajmniej twierdził. – Zaczniście – powiadał – palić papierosy, a zobaczycie, jak wam bródka zacznie się sypać. – I z samej ciekawości wielu chłopców nauczyło się palić papierosy. I nie tylko palić ich nauczył. Pokazał im też sposób na zdobycie „materiału” do palenia. Mówiąc prościej, nauczył ich kraść. Rzecz jasna, że za tę naukę otrzymywał zapłatę w postaci tytoniu i bibułki.

A Berl miał swoje zasady. Ten, który przynosił mu tytoń i bibułkę, zasługiwał na miano swego chłopca. Był kumplem. Ten zaś, który miał pietra albo nie mógł kraść, zyskiwał przydomek fajtlapy i ofermi. Z kolegowania nici. Bywało, że i w mordę dostawał. I to z rąk własnych Berla. O skardze na niego nie mogło być mowy. Równało się to zdemaskowaniu siebie samego. Na takie bohaterstwo niewielu mogło się zdobyć. Dlatego dalej

chłopcy słuchali rozkazów Berła, syna wdowy, i wraz z nim pograżali się coraz głębiej i głębiej w otchłań. Jeden Pan Bóg wiedział, dokąd zabrnęliby z nim chłopaki, gdyby Berł, syn wdowy, nie skończył tak żałośnie. A skończył z własnej winy i w taki sposób, że nikomu z chłopców nie przyszłoby to do głowy.

Chłopcy chederowi z jego paczki byli jeszcze zbyt młodzi i niewinni. Jeszcze nie byli w stanie pojąć tego, co się właściwie wydarzyło. Wiedzieli tylko, że coś tam zaszło pewnego piątku, że przyłapano Berła po drugiej stronie łaźni w chwili, gdy po wybiciu ciemnej szybki zaglądał do kobiet w kąpieli. Trudno określić to, co się działo wtedy w miasteczku. Jego matka, wdowa, wciąż mdłała. Z chederu go wylano. Do bóżnicy nie wpuszczali. Żaden szanujący się chłopak nie śmiał spotykać się z tym „złośliwym renegatem⁵⁵”. Tak go wtedy nazywano. I chyba po to, aby uzasadnić tę nazwę, Berł, syn wdowy, w jakiś czas po tym (matka jego już wtedy nie żyła) wychrzczył się i przepadł.

⁵⁵ *renegat* – odstępcza. [przypis edytorski]

14. Fejgele Diabeł

Łobuzy wchodzą na drogę cnoty. Diabeł, nie dziewczyna. Czarownica, która łaskocze

Mimo wszystko nie należy sądzić, iż zły duch zwyciężył na całej linii, a duch dobry na zawsze pozostał w tyle. Nie wolno zapominać, że na świecie był wtedy miesiąc Elul⁵⁶ z dniami pokuty, Rosz Haszana⁵⁷ i Jom Kipur⁵⁸. Były ponadto zwykłe modlitwy, były posty, były też dni przeznaczone na umartwianie ciała. Czyli to wszystko, co porządni Żydzi kiedyś wymyślili. Nie bacząc na drobne kradzieże, karty i inne chłopięce grzeszki średniego z synów Nachuma, syna Wewika, Szolema, można by z całą pewnością zaliczyć go do wielce i prawdziwie pobożnych. Cechowała go prawdziwa bojaźń boża. Nieraz uroczyście przyrzekał sobie, że kiedy dorośnie, to z woli bożej będzie świętobliwy i porządny. Taki będzie, jak nakazywała babcia Minda, taki, jak nakazywał rebe, i taki, jak nakazywali wszyscy porządni i pobożni Żydzi.

Bywało, i to często, że odmawiając modlitwę płakał. Bił się w piersi za grzechy. Oddalał się od swoich starszych braci i

⁵⁶ *Elul (Ehuł)* – miesiąc sierpień-wrzesień, ostatni w kalendarzu żydowskim. [przypis tłumacza]

⁵⁷ *Rosz Haszana (Rosz Haszone)* – Nowy Rok obchodzony zazwyczaj we wrześniu. [przypis tłumacza]

⁵⁸ *Jom Kipur* – Sądny Dzień, dzień postu i pokuty. [przypis tłumacza]

od łobuzerskich kolegów, gotowych namówić go do wszelkiego zła. Stał się prawdziwym pokutnikiem. Nadszedł czas pokuty. Nadeszły Groźne Dni⁵⁹.

Być porządnym i pobożnym człowiekiem to prawdziwa przyjemność. Zaś ten, który spróbował zostać pokutnikiem, przyzna, że nie ma na świecie niczego bardziej wspaniałego. Pokutnik to taki człowiek, który przeprosił się z Bogiem. Pokonał w sobie złe instynkty i zespolił się z Duchem Świętym. Zważcie tylko, czyż może być coś lepszego od takich przeprosin? A co może być słodsze niż zwycięstwo? I co może być miłszego od Ducha Świętego? Pokutnik czuje, że jest całkowicie i absolutnie czysty, mocny, rzeński, że się na nowo urodził. Z czystym sumieniem może patrzeć w oczy każdemu człowiekowi. Dobrze jest być pokutnikiem. Wręcz doskonale.

Już pierwszego dnia miesiąca Elul, gdy rozlegały się pierwsze dźwięki szofaru⁶⁰, wydało się bohaterowi tej autobiografii, że oto zły duch leży przed nim spętany. Tarza się po ziemi i błaga o litość. Prosi, aby go zbyt mocno nie deptano. Cóż dopiero mówić o Rosz Haszana albo o Jom Kipur? Cierpienia wywołane postem, uczucie głodu, pragnienia były tak bolesne, że chwilami śmierć zaglądała Szolemowi w oczy. A jednocześnie opór stawiany im na równi z dorosłymi sprawiał mu niewysłowioną satysfakcję.

⁵⁹ *Jamim Nora'im (Jomim Nojro'im)* – Groźne Dni, dziesięć dni pokuty od Rosz Haszana do Jom Kipur. Według wierzeń żydowskich decyduje się wówczas los człowieka na następny rok. [przypis tłumacza]

⁶⁰ *szofar* – róg barani. [przypis edytorski]

Wszystko to napełniało go jakąś nadzwyczajną słodyczą. Miało w sobie coś z pokusy. Było piękne. Tylko ten potrafi to ocenić, kto sam jest pobożny, albo ten, który był nim kiedyś. Żadna przyjemność nie może być porównywana do tej, która ogarnia człowieka opuszczającego bóżnicę w wieczór kończący Śądny Dzień. Jest zmęczony, ale oczyszczony ze wszystkich grzechów. Dusza w nim jasna i klarowna. Czekają na niego kolacje. Nogi rwą się same do domu. Poznał już przedsmak rajskiego ogrodu. Przedsmak słodkiego ciasta z mąki żytniej maczanego w mocnej wódce. A na koniec – stop! Co tu się dzieje? Oto Żydzi zatrzymali się, aby uroczyście powitać now księżyc.

– Wprawdzie jesteście, Bożunciu, głodni na umór, zmęczeni na fest i wyczerpani do cna, to jednak jedno z drugim nie ma nic wspólnego – Twój księżyc uczcimy modlitwą!

Ach, jak dobrze jest być Żydem. Porządny Żydem. Pokutnikiem! Istnieje jednak zły duch. Oby szczęść! Wtrąca ci się szatan paskudny i psuje cały interes. Tym razem szatan pojawił się w postaci dziewczyny o zielonych oczach. Skąd się wzięła dziewczyna – zaraz opowiem.

Zgodnie ze starodawnym zwyczajem na okres Groźnych Dni jeździli się do Woronki Żydzi z okolicznych wsi. Nazywano ich „jeszywnikami” albo „świętecznikami”. Każdy gospodarz w Woronce miał swego świętecznika i swoją świętecznicę. Świętecznikiem Nachuma, syna Wewika, był jego daleki krewny Lifszyc, zwany Hłubockim. Był to pobożny Żyd. Czoło miał szerokie. Typowe czoło myśliciela, aczkolwiek zbytnią

mądrością nie grzeszył. A żonę miał również pobożną. Dwie miała pasje: modły i tabakę. Dzieci nie mieli. Mieli za to młodą służącą, sierotę po dalekiej krewnej. Nazywała się Fejgele. U łobuziaków miała inne imię: Fejgele Diabeł. Była to bowiem dziewczyna na schwał. Istny ogień. Diablica, a nie dziewczyna. Zagrywki miała wcale nie dziewczęce. Przebywała z chłopakami. Brała udział w ich zabawach. Gdy nikt tego nie widział, opowiadała im bajki i śpiewała piosenki. Przeważnie gojskie.

Pewnego razu, a zdarzyło się to w dni powszednie między świętami Sukot⁶¹, gdy w nocy było jasno i ciepło, Fejgele podkradała się do legowiska chłopców. (Z powodu krewnych, którzy zjechali się na czas świąt, dzieci musiały spać na ziemi pod gołym niebem). Przysiadała się do nich na poły rozebrana, rozplatała warkocze i opowiadała bajki. Nie były to bajki, które zwykł był opowiadać kolega Szolema, Szmulik, wychowanek rebego. Fejgele opowiadała historie o duchach i czartach płatających różne figle. To przewracają ludziom ubrania na lewą stronę, to przestawiają meble, odwracają kartki ksiąg, tłuką naczynia, wyciągają garnki z pieca i wyczyniają różne inne psikusy. Opowiadała o czarownikach i czarownicach oraz o tym, jak czarownica potrafi, jeśli tylko zechce, zamęczyć stu ludzi samym tylko łaskotaniem...

– Łaskotaniem? Co to znaczy samym łaskotaniem?

⁶¹ Sukot (Sukes) – Święto Szałasów, Kuczki. Obchodzone na pamiątkę pobytu Żydów na pustyni. Również uroczystość zakończenia zbiorów. [przypis tłumacza]

– Nie wiecie, co to jest łaskotanie? Zaraz wam pokażę, jak czarownica łaskocze.

I Fejgele Diabeł, rozpuściwszy włosy, zabrała się do pokazywania, jak czarownica łaskocze. Z początku chłopcy śmiali się. Potem zaczęli się wyrывać. Doszło do szamotaniny. Chłopcy wpijali się palcami w jej długie, rozpuszczone włosy. Nie żalowali ani pięści, ani szturchańców. Bili jak popadło, jak Bóg przykazał. Fejgele udawała, że się broni. Widać było, że te razy sprawiają jej przyjemność. Przyjmowała je i czekała na dalsze. Twarz jej płonęła. Oczy jasnozielone błyszcząły jak u kotki. W świetle księżycy wyglądała jak prawdziwa czarownica. Najgorsze jednak było to, że nie tylko pokonała ich wszystkich, ale każdego pokonanego obejmowała, przyciskała do piersi i całowała, całowała w same usta!

Jedyne szczęście, że działo się to przed Hoszana Rabba⁶², zanim jeszcze „kartka życiowa” na następny rok została podpisana w niebiosach. Pozostał czas na przebłaganie Boga, aby tych narzuconych pocałunków z babą nie zaliczył w poczet wielkich grzechów. Sam bowiem Pan Bóg mógł zaświadczyć, że stało się wbrew ich zamiarom.

Skąd się wzięła ta Fejgele Diabeł? Co za stworzenie z niej było? Czy był to czart? Zły duch? A może zabłąkana dusza z innego wcielenia? A może był to sam szatan Belzebub, który przyjął kształty dziewczyny, aby niewinne dzieci namówić do tak

⁶² *Hoszana Raba (Hosjzane Rabe)* – siódmy dzień Sukot, podczas którego odbywa się procesja wokół bóżnicy. [przypis tłumacza]

ciężkiego grzechu, jakim było całowanie się z dziewczyną, i to
wbrew własnej woli?

15. Duch-kawalarz

„Domownik”, który robi kawały. Duch w potrzasku. Rozpustną dziewczką wydają za męża, a ona staje się cnotliwą żoną

Wkrótce się okazało, kim w istocie była Fejgele Diabeł. A okazało się w sposób tak przedziwny, że warto o tym opowiedzieć.

Tej samej zimy, a było to chyba tuż przed lub tuż po Chanuce, zajechał do nas Lifszyc z Hłubokiego. Przywiózł wiadomość, że w jego domu na wsi zamieszkał jakiś duch. Zadomowił się na dobre i przyczynia mu sporo kłopotów. Jest więc z tego powodu po prostu nieszczęśliwy. Z początku „kawalarz” – jak nazywał go Lifszyc – tylko drwił z nich. Co noc przewertowywał księgi *Gemary*, wydierał kartki z modlitewników i ksiąg biblijnych, przewracał talerze w szafie, rozbijał garnki, wrzucał do wiadra na pomyje woreczek z tefilin⁶³, przekręcał portret Montefioriego twarzą do ściany. Nie, nikt niczego nie słyszał. Później kawalarz zaczął opróżniać im kieszenie. Wykradał drobne monety z szuflady, zabrał i gdzieś ukrył perły żony Lifszycy. Słowem, istne nieszczęście. Przybył więc Lifszyc do swego krewniaka,

⁶³ *tefilin* – dosłownie: modlitwy; nazwa dwóch skórzanych pudełeczek zawierających wypisane na pergaminie modlitwy – przepisy, które mężczyźni od trzynastego roku życia wkładają na głowę i lewą rękę podczas modlitwy porannej w dni powszednie. [przypis edytorski]

do Nachuma, syna Wewika, prosić o radę. Co robić? Czy zawiadomić władzę? A może udać się do rebego z Talna? A może wynieść się z Hłubokiego?

Wysłuchawszy jego relacji Nachum, syn Wewika, miał dwa tylko pytania: – A gdzie sypia służąca? I w jakich stosunkach jest z gospodynią? – Lifszyc obruszył się. Poczł się prawie obrażony. Po pierwsze, Fajgele jest ich biedną krewną. Żona chce ją wydać za mąż. Chce jej nawet dać na posag. Dobrze jej u nich jak w raju. A po drugie śpi jak zabita w kuchni, przy zamkniętych drzwiach.

– A może ma jakichś znajomych we wsi? – Nachum rzucił szybko pytanie. Tym razem Lifszyc wpadł w gniew. Ryknął:

– Skąd u niej znajomi we wsi zamieszkałej przez samych gojów? A może przypuszczasz, że diabełek to ptak?

Broń Boże! Nachum zapewnił go, że tak nie myśli. Śmiał się ze swego głupkowatego krewniaka. Starał się przekonać Lifszyc, że diabełków i „domowników” w ogóle nie ma. Czysta bzdura. Lifszyc wiedział swoje. Przysięgał, że na własne uszy słyssał, oby tak dożył szofaru Mesjasza, jak w nocy krąży po pokoju dziwne stworzenie, które sapie i drapie pazurami. Nad ranem można zauważyć jakieś dziwne ślady kurzych łapek na rozsypanym na podłodze kuchni piasku. Spostrzegłszy, z kim ma do czynienia, Nachum, jak to się mówi, zawrócił dyszlem do tyłu. Owszem, może być, że to diabeł wesolek. Ale co z tego? Miałby więc ochotę być przy tym, gdy się zjawia. Jeśli Lifszyc zgadza się, niech go zabierze do siebie na wieś – chciałby

na własne oczy zobaczyć... Skoro już postanowiono jechać, niech pojedzie wraz z nim jego młodszy brat Nysl, syn Wewika, albo, jak kto woli, Nysl Rabinowicz. Nysl – dał do zrozumienia Nachum – to chłopak zuch, to facet twardy, obdarzony krzepą. Jest więc nadzieja w Bogu, że da sobie również radę z diablikiem. No co, jedziemy?

Z największą przyjemnością! Lifszyc natychmiast zgodził się. Obiema rękami uchwycił się tej propozycji. Cała trójka odziana w ciepłe kożuchy wsiadła do sań i ruszyła na wieś do Lifszycy. Pod wieczór zajechali na miejsce. Miłym gościom zgotowano serdeczne przyjęcie. Gospodyni szykowała mleczną kolację, a oni rozmawiali o diable, który zadomowił się u Lifszycy...

Gdy Fejga podała do stołu, Nachum prowadził dłuższy wywód, że zarówno on, jak i cała jego rodzina, to znaczy wszyscy z Rabinowiczów, od urodzenia już mają jakiś dziwnie mocny sen. Możesz ich wynieść wraz z łóżkiem, a nie usłyszają. Możesz strzelać z armaty. Na nic. A przed jakimś dybukiem⁶⁴, przed jakimś tam diabłem-dowcipnisiem, przed zadomowionym biesem żadnego pietra nie mają. Wcale się go nie boją, mimo że noszą przy sobie sporo forsy. Ale głupi to oni też nie są. Forsę mają głęboko wszytą i to, za przeproszeniem, w tylnej części swojej garderoby, której nigdy z siebie nie zdejmują. Poza tym wcale nie wierzą w żadne tam diabły, dybuki, zadomowione biesy, czarowników, itd. To wrogowie je wymyślili, a głupcy

⁶⁴ *dybuk* – dusza nieboszczyka nawiedzającego ciało człowieka żywego. [przypis tłumacza]

wierzą w te bajki.

Na to Lifszyc w swojej szczerzej naiwności odparł, iż byłoby w porządku i sprawiedliwie, gdyby złośliwy diabeł dobrał się do nich jeszcze tej samej nocy. Żeby na własnej skórze poczuli, czym to pachnie. I tak spędzili cały wieczór na rozmowie. Bracia kazali jeszcze podać sobie wino i wkrótce poczęli udawać lekko zamroczonych alkoholem. Zgaszono wreszcie światło i goście poszli spać. Z ich pokoju dochodziło głośne chrapanie. A że jeden starał się prześcignąć drugiego, powstał z tego istny koncert.

Okolo północy rozległy się krzyki. Bijatyka. Mieszały się głosy żydowskie i gojskie. Lifszycowie zerwali się z łóżka ogarnięci strachem. Zapalili światło i oto ich oczom ukazał się następujący widok: w rękach Nachuma biała, spętana postać – Fejgele Diabeł. Ze wszystkich sił stara się wyrwać, zaś Nysl, chłop jak dąb, mocije się z Chwedorem, pisarzem gminy. Ten gryzł i kąsał. Na rękach Nysla ukazały się ślady krwi. Ale Nysl dał mu radę. Złapał go i związał jak barana. Jak tylko nastał ranek, Fejgele i pisarczyka Chwedora zaprowadzono do urzędu gminnego. Tam postawiono dwa wiadra wódki i sprawę uzgodniono tak załatwić: W związku z tym, że Chwedor sam we własnej osobie jest pisarzem gminnym, to powinien przyznać się do popełnionych kradzieży i zwrócić to wszystko, co przy pomocy dziewczki zwędził Lifszycowi. Wtedy zostanie ukarany łagodnie, to znaczy będzie wychłostany z umiarem i sprawa nie nabierze rozgłosu. Co zaś do dziewczki, to zapewniono ją w

słodkich słowach, że nie przekażą jej w ręce gojów. To nie wchodzi w rachubę. Mimo że istny z niej diabeł, chociaż z niej hultajska renegatka. Jednego tylko żądają. Ma powiedzieć, gdzie są perły i inne ukradzione przedmioty. Uroczyście obiecują jej, że wezmą ją do miasta, znajdą jej narzeczonego i wyprawią wesele na sto dwa, z muzyką, z wystawną kolacją, z pełną wyprawą plus suknia ślubna, i to natychmiast, bezzwłocznie. Tak jak przystoi każdej porządnej i koszernej Żydówce. A o całej sprawie ani mru, mru. Żaden ptak nie wyćwierka i żaden kogut nie wypieje!

I tak też się stało. Chłopa do żeniaczki dano jej ze wszech miar do rzeczy. Chłop z kośćcami. Nazywał się Mojsze Hersz. Z zawodu krawiec damski. Kumami i drużbami byli Rabinowicze. Na przyjęcie weselne przyszło całe miasto. Było również naczalstwo. Wypito morze wina i piwa. Zaś Nysl Rabinowicz i stanowy prystaw⁶⁵ tak tańcowali, że dziw brał patrzeć na nich.

Po ślubie Fejgele zmieniła się całkowicie. Była nie do poznania. Stała się nabożna niczym żona rabina. Żadnemu mężczyźnie nie śmiała patrzeć w oczy. Wobec dzieci Nachuma udawała, że ich nigdy nie znała. A jeśli w mieście zbierano jałmużnę na rzecz biednych, Fejgele pierwsza wkładała na głowę szal i ruszała po prośbie. Nic dziwnego. Nazywano ją już starościana. Uchodziła za niezwykle bogobojną Żydówkę, ale jedno z drugim zwykle nie ma nic wspólnego. Jej panięńskie przezwisko Fejgele Diabeł pozostało przy niej na zawsze. O to

⁶⁵ *prystaw* – komisarz policji w carskiej Rosji. [przypis edytorski]

już dbały urwisy Nachuma, syna Wewika. Najbardziej zaś ten
średni, największy urwis, autor niniejszej relacji.

16. Rodzina

Trzej bracia, trzy różne typy. Sprawa z urzędem skarbowym. Stryj Pinie tańczy przed śmiercią

Ojciec naszego bohatera, Nachum, syn Wewika, miał jeszcze dwóch braci: Pinie oraz wspomnianego już Nysla. Jest rzeczą znamioną, że każdy z trzech braci stanowił odrębny typ. W niczym nie byli do siebie podobni. Najstarszy Nachum, jak już wiemy, był mieszaniną chasyda i maskila⁶⁶. Był filozofem, świetnie kantorował nabożeństwu w bóżnicy, był uczonym, dociekliwym badaczem. Z natury spokojny i milczący. Zamknięty w sobie i skłonny do melancholii. Drugi brat, Pinie, był niesłychanie bogobojny. Tałas kotn⁶⁷ miał trochę za długi. Był to przystojny mężczyzna o pięknej twarzy, ładnej brodzie i uroczych, zawsze uśmiechniętych oczach. Z natury niezwykle ruchliwy. Udzielał się na rzecz gminy. Wścibski, potrafił wleźć w niejedno mrowisko. Rzezak na schwał. I to nie dla pieniędzy, ale dla chwały boskiej, dla mycwy⁶⁸. Jednym słowem, był to Żyd

⁶⁶ *maskil* (hebr.) – dosł.: wykształcony, oświecony; zwolennik ruchu o nazwie Haskala (Oświecenie), zapoczątkowanego wśród Żydów w końcu XVIII w. i stawiającego sobie za cel świeckie wykształcenie, naukę języków obcych, walkę z fanatyzmem religijnym i zacofaniem oraz reformę życia żydowskiego. [przypis tłumacza]

⁶⁷ *tałas kotn* – mały tałas, kaftanik z cyces noszony na co dzień. [przypis tłumacza]

⁶⁸ *mycwa* – dobry uczynek. [przypis tłumacza]

na sto dwa. Zawsze zajęty cudzymi sprawami. Przekonywaniem, wyjaśnianiem, sędziowaniem. Opieką nad wdowami, sierotami i w ogóle biednymi. To jedno. Cóż dopiero mówić o funkcji starosty w bóżnicy, o szkole religijnej, o Chewra Kadisza⁶⁹, o bractwie studiujących *Miszne*⁷⁰ i o bractwie psalmistów? Mam poważną obawę, że to wszystko było mu znacznie droższe niż posiadanie na własność całego targowiska czy nawet całego jarmarku. Ciężkie pieniądze kosztowało go to wszystko. Ale skoro chodzi o mycwę, czyli dobry i miły Bogu uczynek, to co zrobić? Przeciwnie, im drożej to kosztuje, tym większa jest mycwa, czyli zasługa przed Panem Bogiem. Nie należy więc narzekać. Wtedy bowiem mycwa przestaje być mycwą.

Przypominam sobie na przykład następujące wydarzenie. Pewnego razu miały się odbyć targi o pocztę. Chodziło o przejęcie warendę⁷¹ tej instytucji. Aby uniknąć podbijania cen w czasie przetargu, które mogło spowodować krach interesu, Żydzi wpadli na taki pomysł: kto chce pocztę wziąć w arendę, powinien rozdzielić pewną kwotę pieniędzy pośród konkurentów, aby ci nie podbijali ceny i nie zepsuli interesu. Konkurentom nie można jednak wierzyć na słowo, dlatego forszę składa się w bezpiecznym miejscu, a dopiero potem zainteresowani udają się

⁶⁹ *Chewra Kadisza* (*Chewre Kadisze*) – Bractwo Pogrzebowe zajmujące się zarządzaniem pochówków rytualnych. [przypis tłumacza]

⁷⁰ *Miszna* (*Miszne*) – starsza część *Talmudu*, zawiera uporządkowane treściowo przepisy prawa religijnego i świeckiego. [przypis tłumacza]

⁷¹ *arend* (daw.) – dzierżawa. [przypis edytorski]

na przetarg. A jeśli mowa o bezpiecznym miejscu, to gdzie może być najbezpieczniej? Oczywiście, że u Pinie, syna Wewika. Pieniądze więc złożono u niego i dopiero wtedy wszyscy udali się na targi. Ale ten, który zdeponował pieniądze, spłatał figla. Pod jakimś pozorem wyśliznął się z sali przetargowej, pieniądze odebrał i wszystkich wystawił do wiatru. Oczywiście konkurenci donieśli komu trzeba i najpierw dobrano się do owego faceta, który zdeponował pieniądze, a potem do drugiego osobnika, u którego były zdeponowane. Panie Żydzie szanowny, bardzo przepraszamy, ale jak właściwie było? I opowiedział im Pinie wszystko po kolei. Zasądzono go więc za okradzenie urzędu skarbowego. Jego szczęście, że zamieniono mu więzienie na grzywnę.

Myślicie zapewne, że nauczyło go to rozumu? Jeśli tak, to jesteście w błędzie. Cudze sprawy, gdy tylko zdają się mieć charakter społeczny, gdy trzeba komuś wyświadczyć przysługę, są dla niego znacznie ważniejsze od własnych spraw i interesów. Dla niego porzucić jarmark i udać się na uroczystości obrzezania to fraszka. Jest przecież rytualnym rzezakiem. Nie mówię już o wydaniu za mąż biednej sierotki. To jest większa mycwa. Mycwą też jest tańczyć przez całą noc na tym weselu z biednymi rodzicami narzeczonego. Nieczęsto się zdarza taka okazja.

Mówiąc o tańcach trudno powstrzymać się od wyrażenia podziwu dla jego umiejętności tanecznych. Skąd u takiego Żyda, u tego człowieka na wskroś bogobojnego, takie wspaniałe umiejętności? Gdzie się tego nauczył? I kto był jego

nauczycielem? Dla niego takie tańce, jak chasydzki, kozak czy fonia, to doprawdy betka.

– Cisza! Uwaga! Reb Pinie zatańczy „chasyda”!

– Kobiety na bok! Reb Pinie pokaże nam, jak się tańczy fonię.

I ludzie rozstępują się. Formują szpaler. Stryj Pinie tańczy „chasyda”, rżnie kozaka albo wywija fonię. A publika podziwia. Tego jeszcze nie było.

Im biedniejsze było wesele, tym większa była zabawa. A dokładniej, im biedniejsi byli gospodarze weseliska, tym gorliwiej tańczył stryjek Pinie. Popisywał się takimi sztuczkami, że oko bieleło. A robił to tylko dla mycwy, by spełnić dobry uczynek, by rozweselić młodą parę. Warto było podziwiać stryja Pinie, gdy tańczył pod świecznikiem z płonącymi świecami albo „pod lustro”. A tańczył lekko, z takim wdziękiem i gracją, że mogliby mu pozazdrościć najwięksi tancerze współczesnego świata. Tylko bilety sprzedawać. I zebrałaby się pokaźna suma. Kapota odrzucona precz, tańes kotn na wierzchu, rękawy zakasane, spodnie rzecz jasna wpuszczone w cholewy butów, a nogi ledwo, ledwo dotykają podłogi. Głowa podrzucona do góry, oczy przymknięte, na twarzy zachwyty i uniesienie jak podczas modłów. A muzykanci grają żydowskie kawałki. Tłum klaszcze w dłonie. Koło coraz bardziej się powiększa. A tancerz, omijając świecznik z płonącymi świecami, wpada w coraz większą ekstazę.

Nie! To nie był taniec. To była raczej służba boża, misterium. A ja znowu zadaję to samo pytanie: – Skąd się wziął u tego

bogobojnego Żyda taki talent i taki kunszt taneczny? Gdzie się tego nauczył? I kto mógł być jego nauczycielem? – Zagadaliśmy się o tańcach, a tymczasem zapomnieliśmy o trzecim bracie, o Nyśle. Poświęćmy mu kilka słów w następnym rozdziale.

17. Stryj Nysl i ciocia Hudl

Stryjek Nysl hula. Ważny w oczach naczałstwa. Żona – utrapienie. Udawał czynownika ⁷², nawarzył piwa i uciekł do Ameryki. Talent poety

O ile dwaj starsi bracia, Nachum i Pinie, byli chasydami, to trzeci, najmłodszy, Nysl, syn Wewika, albo – jak się ostatnio lubił nazywać – Nysl Rabinowicz, był już absolutnie świecki. Ubierał się niczym szczygieł. Kapota z tyłu rozcięta. W tamtych latach znamionowało to franta⁷³. Lakierowane buty na modłę niemiecką i pejsy mocno, mocno podwinięte. Sposób postępowania demokratyczny. A konkretnie? W bóżnicy miał, jak wszyscy poważni obywatele, swoje stałe miejsce przy ścianie wschodniej, ale siedział zawsze na szezlongu w przedsiionku świątyni. W rękę miał *Pięcioksiąg* z komentarzem i głosił prostym ludziom opowieści o reb Mojszele Wajnsztajnie, o Montefiorim i Rotszyldzie. Miał świetny basowy głos. Lubił śmiać się i sam innych rozśmieszał. Najbardziej śmiały się kobiety i dziewczęta. Po prostu pękały ze śmiechu. Czym je rozśmieszał – czort wie. Wystarczyło, aby powiedział jedno słowo, a już wybuchały bomby śmiechu.

I cóż to był za hulaka! Bez niego każde wesele było po

⁷² *czynownik* – urzędnik w carskiej Rosji. [przypis edytorski]

⁷³ *frant* (daw.) – spryciarz. [przypis edytorski]

prostu pogrzebem. Nysl, syn Wewika, a raczej Nysl Rabinowicz, potrafił wskrzesić umarłych. Przy nim wszyscy stawali się rozmowniejsi. Ogarniała ich ochota do śmiechu, do tańca. Różnica między nim a stryjem Pinie polegała na tym, że Pinie sam umiał tańczyć, zaś Nysl potrafił skłonić innych do tańca. Wszyscy wypijali z nim brudzia. Wszyscy wraz z nim śpiewali i tańczyli. Pierwszym był prystaw. Z nim to się zamieniał czapkami. Słowem, ubaw na potęgę.

A w ogóle to Nysl był z naczałstwem za pan brat. Miastem rządził twardą ręką tak, jakby on sam był naczelnikiem, czynownikiem lub innym urzędnikiem. Do tego wszystkiego miał jeszcze pysk niewyparzony. Mówił po rosyjsku jak prawdziwy Fonia⁷⁴: – *Mieźdu proczem, wasza miłost', pozwoltie pokurit na nasz szczot i czto by nie było nikakich kakow.* – Nie tylko Żydzi mieli przed nim respekt. Goje też: – *Chodym do Nysela. Wyn i dilo skaże i czarka horyłki bude.* – Znaczy się, idziem do Nysla, on sprawę wyjaśni i gorzałka będzie.

Nysl udzielał się społecznie jeszcze bardziej niż stryj Pinie. Lubił zawsze prawować się kimś albo za kogoś. Wydawało mu się, że zna wszystkie przepisy, wszystkie ustawy. Toć to nie bagatela. Żyd mówiący tak świetnie po rosyjsku, wcale nie poznać, że to Żyd. Do tego jeszcze z naczałstwem za pan brat, starostę zbił jak psa, z wójtem chleje całą noc, i to u siebie w szynku, a ze stanowym prystawem całuje się jak z krewniakiem.

O ile jednak Nysl ważny był w mieście, o tyle wcale nie

⁷⁴ Fonia – Rosjanin. [przypis tłumacza]

był ważny u swojej połowicy, cioci Hudl (wszyscy wielcy ludzie mało znaczą u swoich żon). Ciocia Hudl była kobietą niską, czarnowłosą. Jednak ta mała kobietka często napełniała swego wielkiego męża potężnym strachem. Bał się jej jak śmierci. Budziło zdumienie, iż ten wielki rośły stryjek Nysl, ważniak u naczalstwa, tak świetnie mówiący po rosyjsku, zawsze uśmiechnięty i wesoły elegant, mile widziany przez kobiety, godził się tak łatwo na to, by jego malutka połowica waliła go po głowie poduszką albo miotłą po wypucowanej kapocie. Szczególnie umiłowała sobie tłuc go miotłą właśnie w święta. Przede wszystkim w święta Symchat Tora⁷⁵, i to na oczach tłumu. Mówiła przy tym: – Niech wszyscy wiedzą, jakiego to męża ma jego żona. – On jednak przyjmował to tak na niby, nie na serio. Zamykał się ze wszystkimi Żydami w salonie, otwierał butelki z wódką, zdejmował pokrywy ze wszystkich beczek z kiszonymi ogórkami, wyciągał wszystkie garnki z pieca i urządzał istny pogrom. Fatalne zniszczenia we własnym mieszkaniu. Potem przez trzy tygodnie chorował, na złość cioci Hudl. Ale warto było. Co się nachlali, to się nachlali!

Najzabawniejsze jednak, że stryjek Nysl bez cioci Hudl nie mógł ruszyć się ani na krok. Uważał ją za tęgą głowę. Nie pozostawało mu nic innego, jak zdać się na jej łaskę. Pochodziła przecież z Korsunia, z miasta położonego w kijowskiej guberni. Korsunianie znani byli z wybuchowego temperamentu. – Na

⁷⁵ *Symchat Tora* (*Symchas Tojre*) – święto związane z zakończeniem rocznego cyklu czytania *Tory*, obchodzone ostatniego dnia Sukot. [przypis tłumacza]

to jednak jest tylko jedno lekarstwo – mówił Nysl. – Perły! – Gdyby Bóg mu pomógł i byłby w stanie kupić jej duże perły, to jej charakter, tak twierdził Nysl, uległby całkowitej zmianie. – Znam jeszcze lepsze lekarstwo – szepnął mu na ucho starszy brat Pinie, chcąc mu otworzyć oczy, ale wyjawiony sekret sprawił, że Nysl zadrżał na całym ciele.

– Niech Bóg uchowa! Niech Bóg ma nas w opiece!

– Posłuchaj mnie, Nysl! Rób, jak ci każe. Dobrze na tym wyjdiesz!

Na czym polegała ta rada, okazało się dużo później. Ten właśnie sekret roztrąbiła po mieście sama Hudl, nie przestając publicznie potępiać, przeklinać i rozstawiać po kątach całej rodziny swego męża. „Rodzinka”, innego określenia dla Rabinowiczów nie znalazła. U nich bić żonę to chleb powszedni. Prędzej jednak uschnie im ręka, nim ruszą Hudl.

Całe miasto znało tę tajemnicę. Wszyscy wiedzieli, że Nysl Rabinowicz ma ciężkie życie ze swoją żoną, chociaż powszechnie uchodził za możnego, a w naczalstwie wodził rej. Lepiej gdyby nie był taki możny! To bowiem właściwie go dobijało, chociaż w ostatecznym rachunku uszczęśliwiło Nysla wraz z dziećmi i dziećmi dzieci na wieki. O tym krąży cała opowieść, prawdopodobnie zmyślona. Ja jednak mimo wszystko przekazuję ją w takiej wersji, jaką sam usłyszałem.

W małym miasteczku niedaleko Woronki, zdaje się w Brzezanie, goje skazali pewnego Żyda na wygnanie. Co tu robić? Udali się więc Żydzi do Nysla, syna Wewika, albo, jak kto

woli, do Nysła Rabinowicza. Przecież taki ważny u naczałstwa, tak pięknie po rosyjsku gada i ze stanowym przystawem z dubeltówki się całuje. Wujek Nysl pobiegł w te pędy do przystawa⁷⁶. A ten nie może w niczym pomóc. – To – powiada – zależy od isprawnika⁷⁷. – Isprawnik zaś, po pierwsze, nowy człowiek, a po drugie straszny Haman⁷⁸, antysemita. Co więc robić dalej? Czy można dopuścić do zniszczenia człowieka i unieszczęśliwienia całej jego rodziny? – Poczekaj troszeczkę. *Budiet dieło w szłapie*⁷⁹ – będzie olej! – powiedział wujek Nysl i odstawił taki mały numerek. Zdobył gdzieś mundur czynownika, przebrał się za isprawnika, złapał karetę pocztową i zajechał do wsi z całą paradą. Natychmiast posłał po wójta z całą hromadą i wyszedł z pyskiem: – *Kak wy smiejetie*⁸⁰, takie-siaki? – Tupał przy tym nogami jak prawdziwy isprawnik. Krzyczał, że to nie *po zakonu*⁸¹, że to bezprawie, a wyrok

⁷⁶ *prystaw* – komisarz policji w carskiej Rosji. [przypis edytorski]

⁷⁷ *isprawnik* – urzędnik wchodzący w skład sądu ziemskiego. [przypis edytorski]

⁷⁸ *Haman* – pierwszy minister Persji za panowania króla Achaszwerosza. Nienawidził on Żydów do tego stopnia, że skłonił króla, by ten wydał rozkaz ich zgładzenia. Tymczasem Achaszwerosz pokochał i poślubił żydowską dziewczynę Esterę, która postępując wedle wskazówek swego wuja i opiekuna Mordechaja, wpłynęła na cofnięcie okrutnego zarządzenia, ocalając w ten sposób swój lud. Haman i jego synowie zostali powieszani, a jego miejsce zajął wuj królowej, Mordechaj. Na pamiątkę tego wydarzenia Żydzi obchodzą radosne święto Purim (hebr.) – dosłownie: losy. [przypis edytorski]

⁷⁹ *Budiet dieło w szłapie* (ros.) – sprawa zostanie załatwiona. [przypis edytorski]

⁸⁰ *Kak wy smiejetie* (ros.) – jak wy śmiecie. [przypis edytorski]

⁸¹ *po zakonu* (ros.) – według prawa. [przypis edytorski]

skazujący Żyda na wygnanie podarł na kawałki. Jeśli zaś ośmielią się poskarżyć na niego gubernatorowi, to niech przyjmą do wiadomości, że on, to znaczy nowy isprawnik, jest właśnie rodzonym wujem gubernatora ze strony matki, a jego żona jest trochę spokrewniona z samym ministrem spraw wewnętrznych i zagranicznych.

Nie wiadomo, kto doniósł. Jednak afery z podartym wyrokiem i historia z gubernatorem oraz ministrem spraw wewnętrznych i zagranicznych niczym oliwa wypłynęła na wierzch. Powstała sprawa, a sprawcę, za przeproszeniem, posadzono i zasądono. Finał był taki, że odważny stryj Nysl musiał zamienić się w uciekiniera. Mówiąc prościej, wziął i nawiał. Udało mu się. Z początku tułał się przez jakiś czas w Odessie. Tam wyrobił sobie paszport na nowe nazwisko i popłynął do Ameryki. Dotarł do Kanady. Przez pierwszy okres cierpiał biedę. Później zaczęły przychodzić *letters*⁸², w których pisał, że dobrze mu się powodzi, że zażywa żywota. W jakiś czas potem sprowadził rodzinę, która też słała listy, że żyją jak w niebie. Po tym nadeszły *pictures*⁸³. Na tych zdjęciach wyglądali wszyscy jak hrabiowie. Panowie, panie całą gębą! Ale jak rzeczywiście wyglądało to „zażywanie żywota” i w ogóle życie w Ameryce, tego nie można było od nich wydusić.

Dopiero po trzydziestu latach, w 1905-1906 roku, ten, który opisuje to wszystko, przewędrował przez ocean i szczęśliwie

⁸² *letters* (ang.) – listy. [przypis edytorski]

⁸³ *pictures* (ang.) – fotografie. [przypis edytorski]

przybył do Ameryki. Postarał się wówczas o dokładne informacje o swoim stryjku. Dowiedział się, że stryj Nysl jest już na tamtym świecie, że pozostawił po sobie dobre imię i nie mniej dobry majątek. Jego dzieci i wnuki są, jak to się mówi w Ameryce, *all right*⁸⁴.

Jednak obraz stryja Nysla nie byłby pełny, gdybyśmy opuścili jeden istotny rys. W tym człowieku tkwiła dusza poety – lubił śpiewać pieśni, najczęściej własne. Kiedy siedział w więzieniu, ułożył wiersz o sobie. Według alfabetu. Skomponował do niego muzykę, która brała za serce. Ileż takich talentów, o których nic nie wiemy, przepadło u nas.

⁸⁴ *all right* (ang.) – w porządku (tu: mają się dobrze). [przypis edytorski]

18. Pinele, syn Szymeły, jedzie do Odessy

Szymele mówi raczej po gojsku. Opowiada wiele o Efrosie. Przenosi się do Odessy. Jego syn, Pinele, przechodzi operację. Ziarnko grochu w uchu. Obiad pożegnalny

Bohaterowi niniejszej biografii wydaje się, jak zresztą każdemu chłopakowi żydowskiemu, że jego miasteczko jest szczytem wszystkiego, jest pępkiem świata, a Żydzi w nim mieszkający to sami wybrańcy Boga. Dla nich to Bóg stworzył ten cały świat. Zaś na czele tych wybrańców stoją dzieci Wewika Rabinowicza. Najpierwszym z pierwszych, główną ozdobą Rabinowiczów jest bezsprzecznie jego tato, Nachum, syn Wewika. Kto bowiem zasiada na widocznym miejscu przy ścianie wschodniej, zaraz po rabinie, przy samej Arce Przymierza? Do kogo najpierw przychodzą z życzeniami w święta? I u kogo zbierają się co sobotę wieczorem dla odprawienia melawe malke⁸⁵, kiedy śpiewają, tańczą i hulają do białego rana? Nie, nie ma niczego wspanialszego niż jego rodzina... Nie ma bogatszego domu. Nie ma człowieka większego od ojca Szolema. Nie ma nikogo pobożniejszego od jego ojca. Nie ma pobożniejszego od jego stryja Pinie. Nie ma

⁸⁵ *melawe malke* – uroczyste zakończenie soboty. [przypis tłumacza]

człowieka weselszego od jego stryja Nysla. I patrząc na swego rosnącego ojca Nachuma, odzianego w sobotę lub święto w swoją piękną jedwabną kapotę opasaną szerokim pasem, z napoleonką na głowie, albo na swoją maleńką matkę, Chaję Estere, gdy unosi swoje białe delikatne ręce nad dużym, wysokim, srebrnym lichtarzem, aby pobłogosławić świece, lub też na wysoką krzepką babcię Minde, gdy ta przekomarza się z Bogiem, jakby to był jej całkiem bliski znajomy, czy też na stryja Nysla, tego chłopca na schwał, gdy rozmawia po rosyjsku jak prawdziwy Fonia⁸⁶ – Szolem, syn Nachuma, był pełen radości i dumy. Czuł się lepszy od swoich rówieśników. Dziękował Bogu za to, że dane mu było urodzić się w takiej właśnie rodzinie, pod taką właśnie złotą flagą. Czuł się w niej szczęśliwy, bezpieczny niczym księżę w twierdzy, w królewskim pałacu.

I oto nagle filary tej twierdzy zdrząły, zachwiały się. Pałac zaczął się przechylać. Groził zawaleniem. Cały czar szczęśliwego miasteczka nagle prysnął. Młody księżę dowiedział się, że to miasteczko nie jest pępkiem świata. Jest na świecie wiele, bardzo wiele miast większych od Woronki. Są na świecie Żydzi znacznie bogatsi od Rabinowiczów. A dowiedział się Szolem tego wszystkiego od swego nowego przyjaciela, od Pineły, syna Szymeły. I o nim teraz opowiem.

Poza dziećmi Wewika – Rabinowiczami – był w Woronce jeszcze jeden zamożny Żyd o imieniu Szymele. Był to korpulentny Żyd z okrągłym brzuszkiem o wielce sympatycznej

⁸⁶ *Fonia* – Rosjanin. [przypis edytorski]

twarzy i ustach nieco wykrzywionych. Nie tyle był bogaczem, ile birbantem⁸⁷ żyjącym ponad stan. Każdy rubel uważał za bękartą, którego należało się czym prędzej pozbyć. Ile miał, tyle wydawał. A kiedy nie miał, pożyczał i znowu wydawał.

W mieście uważano go trochę za heretyka, albowiem nosił sztywny kołnierzyk i bródkę ciut za okrągłą i za bardzo wypielegnowaną. Miał za to rękę otwartą i hojną. Nie skąpił jałmużny. Mógł być zwykły dzień tygodnia, a on, gdy miał na to ochotę, spraszał do siebie ludzi na dobrą libację – i hulaj dusza!

Ze wszystkich Rabinowiczów upodobał sobie szczególnie stryja Nysla. Tak jak i on kapotę miał z tyłu rozciętą, nawet pejsy nosił krótkie i lubił rozmawiać z Żydami po gojsku: – Hej, wy, *sukine dieti!* Co tam za głodne kawały pieprzycie! Pora Bogu *molitsia!* – Pismo miał rzadko spotykane. Czysta kaligrafia. A to dlatego, iż był mańkutom, a mańkuci, jak wiadomo, piszą nadzwyczaj pięknie. W domu bywał gościem, tylko w święta. Odświętował i zaraz wyjeżdżał. Nikt dokładnie nie wiedział dokąd. Zjawiał się znowu podczas następnego święta. Przywoził mnóstwo podarunków. Tyle ich było, że całe miasteczko podrywał na nogi. Długo potem jedynym tematem rozmów mieszkańców były podarunki Szymeły.

Pewnego razu, gdzieś przed świętem Pesach⁸⁸, przyjechał nie wiadomo skąd i rozpuścił pogłoskę, że wyjeżdża z Woronki

⁸⁷ *birbant* – próżniak i hulaka. [przypis edytorski]

⁸⁸ *Pesach* – Pascha, Wielkanoc, Święto Wolności upamiętniające wyjście Żydów z Egiptu. [przypis tłumacza]

na stałe. Dokąd? Ano daleko. Bardzo daleko. Aż do Odessy! – Tylko bydlaki – powiedział – siedzą tutaj, w tym grajdołku, *czort was pabieri*⁸⁹! Gdybyście byli w Odessie, wiedzielibyście przynajmniej, co to znaczy miasto. Gdybyście zajrzeli do kantoru Efrosa, to byście zobaczyli, ilu tam urzędników, *czort was pabieri!* Ile się tam złota przelewa w ciągu dnia! Wszyscy razem moglibyście sobie tego życzyć, *sukine diety*, wraz ze mną!

Ludzie, rzecz zrozumiała, wysłuchali Szymeły z otwartymi ustami, wydziwiali na kantor Efrosa i na jego złoto, którego tyle tam przewala się w ciągu jednego dnia. Za plecami jednak pokpiwano sobie z Szymeły i z kantoru Efrosa. A najbardziej pokpiwał sobie Szmuel Elijahu, nowy rabin i kantor w jednej osobie, który dopiero co przybył z Baryszpola. Był to młody człowiek, niskiego wzrostu. Z charakteru łobuzowaty i beczelny. On to powiedział: – Naplujcie mu w gębę, temu Szymele! Po pierwsze, wcale nie wyjeżdża, a po drugie, nie do Odessy, ale trochę bliżej, do Rżyszczewa, i nie dlatego, że miejscowi ludzie to bydlaki, ale dlatego, że się zadłużył. Nawet włosy na głowie nie należą już do niego. Cha! cha! cha!

Jakby jednak nie było, czy miał jechać do Odessy, czy do Rżyszczewa, czy dlatego, że ludzie w Woronce to bydlaki, czy też wreszcie dlatego, że nie miał czym spłacić długów, bo nawet włosy już ponoć nie były jego, fakt pozostaje faktem: Szymele nie żartował. Natychmiast po święcie Pesach zaczął pozbywać się wszystkiego za pół darmo. Wiele rzeczy rozdał.

⁸⁹ *czort was pabieri* (ros.) – niech was diabeł weźmie. [przypis edytorski]

Swoje córki wystroił niczym do ślubu. Dla swoich chłopców zamówił u krawca Isruela ubrania, krótkie marynarki, jakie nosi się w Odessie. I aby miasteczko rozgrzać do białości, polecił swojej żonie Heni wydać ucztę dla wszystkich mieszkańców miasteczka. *Czort ich pabieri!* Miały być naleśniki ekstra.

Oczywiście na ucztę przyszło całe miasteczko. A pierwszy był właśnie Szmuel Elijahu, nowy rabin i kantor, który drwił i pokpiwał sobie z Szymeły za jego plecami. A w ogóle podlizywał mu się tak, że człowieka ogarniał wstręt.

Razem z dorosłymi przyszła na ucztę również młodzież. Zamiast jednak siedzieć ze starszymi przy stole, młodzież wołała przebywać na dworze i przyglądać się wozom z budami, na które właśnie ładowano część dobytku. I wtedy Szolem, syn Nachuma, wlaźł wraz z najmłodszym synem Szymeły, chłopcem o wiecznie zatroskanej twarzy i ogromnych, pełnych tęsknoty oczach, do wozu pod budą. Rozsiedli się tam wygodnie i rozgadali o dalekiej podróży.

W tym czasie Pinele był najbliższym kolegą Szolema. Szolem lubił go za to, że Pinele wiedział prawie wszystko, co się na tym świecie działo. Nasłuchiwał się niejednego o wielkich miastach od swego ojca, a poza tym sam przebywał jakiś czas w mieście Perejaślawiu, i to z powodu małego ziarenka grochu.

Pinele w czasie zabawy usiłował wetknąć w ucho ziarenko grochu, aby je wyjąć przez drugie ucho. Okazało się, że ziarenko było uparte i nie chciało w żaden sposób wyjść ani z jednego, ani z drugiego ucha. Wołało raczej pęcznieć i rosnąć w środku,

wywołując przez to straszliwy ból głowy. Chłopak nie miał wyjścia i musiał wyśpiewać całą prawdę o ziarnku grochu. Było nie było, dostał lanie, aby zapamiętał: chłopczyk nie powinien wpychać sobie grochu do ucha. Następnie tak długo majsterkowano w jego uchu za pomocą drucików, pręcików, zapalek, aż trzeba było odwieźć go do Perejaśławia na operację. O tej wyprawie do wielkiego miasta Pinele miał ponoć wiele do opowiadania. Posiadł kupę wiadomości. Nie dziw, iż bardzo urósł w oczach swoich kolegów. Przewyższał ich co najmniej o głowę. Toż to nie bagatela. Chłopak był w Perejaśławiu. Na własne oczy widział niezliczone domy pokryte blachą. Widział trotuary na wszystkich ulicach. Zobaczył białe cerkwie z zielonymi kopułami, ze złotymi krzyżami. Widział murowane sklepy. Całe góry kawonów⁹⁰ i melonów, jabłek i gruszek. I wszystkiego było w bród. Walało się to po prostu na ziemi. Widział też żołnierzy ćwiczących musztrę na ulicach i wiele, wiele innych cudownych i przedziwnych rzeczy.

Od tego czasu Pinele i Szolem stali się przyjaciółmi. Trzymali sztamę. Byli jedną duszą i jednym ciałem. Nikt nie odczuł tak boleśnie wyjazdu Pineły jak Szolem. Zazdrościł mu wyjazdu i ciężko przeżywał rozstanie z przyjacielem. Pokochał go bowiem nie mniej niż swoich poprzednich kolegów.

Podczas pożegnalnego spotkania Pinele, wypucowany, w nowym garniturku, z rękami w kieszeniach, zaczął sobie jawnie drwić z Woronki: – Co to jest ta Woronka? Grajdołek,

⁹⁰ *kawon* – arbuz. [przypis edytorski]

pipidówka, zabita deskami wieś. Gorsza nawet od wsi! A ludzie! Nędzarze, pętaki, golce, żebracy! To, co w Odessie posiada tylko jeden Efros, uwierz mi, tego nie mają wszyscy Żydzi z Woronki wzięci do kupy!

Potem Pinele zaczął rozwodzić się nad wielkością własną i swojej rodziny. Mówił o tym, jak za chwilę wyruszą krytymi wozami, aż się tylko będzie kurzyć. I jak to sobie trochę pojeżdżą, i co się będzie działo, gdy tylko wjadą do Odessy. Wszyscy znaczący obywatele miasta wyjdą im na spotkanie. Przywitają ich najserdeczniej chlebem i solą, świeżymi kołaczami i pieczonymi kaczkami. Nie zabraknie też doskonałego wiśniaku, a wśród witających będzie również Efros.

– A kto to jest ten Efros? – pyta Szolem cicho.

– Nie wiesz, kto to jest Efros? – odpowiada głośno Pinele. – Efros to nasz krewniak ze strony matki. To bogacz, potentat, milioner! Już ci przecież powiedziałem, głuptasku, że to, co on mieści w jednej kieszeni, tego nie mają wszyscy tutejsi Żydzi razem wzięci wraz z miejscowymi bogaczami. Możesz sobie wyobrazić, że on wyjeżdża kareta zaprzęoną w szóstkę koni na szpic, a kareta poprzedza jeździec na rączym koniu. Ubrany jest od stóp do głowy w jedwabie i aksamity i posiada dwa futra. Jedno z gronostajów, a drugie piżmowe. A w powszednie dni zajada tylko kołacze i tylko pieczone kaczki. Zapija to najlepszym wiśniakiem...

– A co tam będziecie robili? – zadając to pytanie Szolem połyka ślinkę na myśl o pieczonych kaczkach i najlepszym

wiśniaku.

– Co znaczy „co”? – odpowiedź Pineły jest prosta i zarazem poważna. – Co robią wszyscy Żydzi w Odessie? Co robi Efros? Efros ma własne spichrze z pszenicą. To i mój tato będzie miał spichrze z pszenicą. Efros ma kantor i ludzi. I mój tato będzie miał kantor i ludzi. A pieniądze będą płynąć strumieniami do naszych kieszeni. Masz pojęcie, co to jest Odessa?

I Pinele zaczął opowiadać o potędze Efrosa i pięknie Odessy, o jej trzypiętrowych kamienicach. – Głuptasku, nasze miasto w porównaniu z Odessą, jak by ci to powiedzieć – to jak mucha wobec słonia, jak mrówka wobec hipopotama! – Można było przysiąc, że był tam i widział wszystko na własne oczy. Szolem nie spuszczał z niego wzroku. Połykał każde jego słowo i bardzo mu zazdrościł. Jedna tylko rzecz budziła jego wątpliwości. Nie omieszkał więc zapytać:

Jeśli Odessa to takie wspaniałe miasto, a Efros, ten milioner, jest ich krewnym, to dlaczego dotychczas to przemilczali? Dlaczego wcześniej nie wyjechali do Odessy?

Na to Pinele, nie namyślając się długo, odpowiedział:

– Głuptasku! Myślałeś zapewne, że to bliski krewny. Może nawet wujek? Siostrzeniec? A może powinowaty? Nic z tych rzeczy. To daleki krewny. Nawet nie związany z rodziną. Oboje, to znaczy Efros i moja mama, są tylko z jednego miasta: mama pochodzi z Międzyrzeczki, a ojciec Efrosa, jak powiadają, wywodził się właśnie z Międzyrzeczki.

Nie można twierdzić, żeby odpowiedź Pineły była

wyczerpująca. Czas jednak płynął, a przyjaciele tak się zagadali na temat Odessy i szlacheckiego rodowodu Efrosa z Międzyrzeczki oraz jeszcze innych spraw, że nie spostrzegli kiedy minął ranek. A tymczasem biesiadnicy już dawno zjedli naleśniki i lekko a dziwnie zarumienieni i spoceni gospodarze stali przy wozach gotowi do pożegnania. Przyjaźnie ściskano ręce Szymeły i jego rodziny, wymieniano pocałunki i składano najlepsze życzenia. Najbardziej rozcałował się Szmuel Elijahu, rabin i kantor w jednej osobie. Górna jego warga dziwnie jakoś była wykrzywiona, pewnie tłumił śmiech. Życzył wyjeżdżającym jak najlepiej. Oby szczęście ich nie opuściło! Ponadto prosił przekazać pozdrowienia dla całej Odessy i dla Efrosa szczególnie. Tylko żeby, na miłość boską, nie zapomniano przekazać Efrosowi przyjaznych życzeń.

– *Praszczajcie, sukine diety!*⁹¹ – w taki sposób Szymele wychylając się z budy żegnał się wesoło z miasteczkiem. – *Praszczajcie! Nie pominajcie lichom!*⁹² I niech wam Bóg pomoże wykaraskać się z tego bagna. Jazda!

– Jazda! – powtórzył za nim Pinele. Stał na wozie z rękami w kieszeniach, jak dorosły, i czułym wzrokiem spoglądał na swego przyjaciela Szolema. Było w tym spojrzeniu i poczucie własnej godności. Wozy ruszyły w drogę. A gdy zniknęły z oczu, pozostawiając za sobą zapach kwaśnego potu i łajna oraz całą

⁹¹ *Praszczajcie, sukine diety!* (ros.) – żegnajcie, dzieci suk. [przypis edytorski]

⁹² *Praszczajcie! Nie pominajcie lichom!* (ros.) – Żegnajcie! Nie wspominajcie źle! [przypis edytorski]

ścianę kurzu, Szmuel Elijahu złapał się pod boki i wprost pękał ze śmiechu. Tarzał się po ziemi, jakby dziesięć tysięcy diabłów łaskotało go w pięty: – Cha! cha! Do Odessy jedzie! Do Efrosa, cha, cha, cha!

W jednej chwili dwulicowy Szmuel Elijahu zyskał sobie wroga. Śmiertelnego wroga! Był nim Szolem, syn Nachuma. Jemu wcale nie było do śmiechu. Przeciwnie, chciało mu się płakać. Raz – stracił przyjaciela. Dwa – dręczyła go zazdrość. Pinele odjechał. I to dokąd? Tak daleko! Do samej Odessy. I rzecz najważniejsza: stara, pełna wdzięku Woronka nagle jakby zmalała, skurczyła się, pociemniała. Raptem straciła cały swój urok, blask i czar. Szolemowi ścisnęło się serce. Zgorzkniały i smutny ruszył do chederu...

PS. W jakiś czas potem, po wielu, wielu latach, okazało się, że Szmuel Elijahu, rabin i kantor w jednej osobie, miał rację. Szymele pojechał ze swoją rodziną nie do Odessy, ale do Rżyszczewa, do małego miasteczka w kijowskiej guberni, wcale niedaleko od Woronki. Do czego była mu potrzebna ta cała komedia z Odessą i Efrossem? O to trzeba by zapytać jego dzieci. Szymele bowiem już dawno opuścił ten świat.

19. Kto zmienia miejsce, ten zmienia los

Pożegnanie Woronki. Herszt podkłada swemu
wspólnikowi świnie. Całun babci Mindy

Skąd to się wzięło – tego autor tej opowieści nie potrafi powiedzieć. Fakt, że Szymele zrobił początek. Natychmiast po jego wyjeździe wszyscy nieco zamożniejsi Żydzi w mieście zaczęli roztrząsać przysłowie: „Kto zmienia miejsce – zmienia los”. Mówili o przeniesieniu się do innych miast, większych niż Woronka, jak Baryszpol, Rżyszczew, Wasilków czy nawet dalej. Doszły również do uszu dzieci Nachuma wieści podawane w najgłębszej tajemnicy, że ojciec ich zamierza przenieść się wkrótce do Perejasławia, wielkiego miasta, skąd kiedyś przyjechał do Woronki, gdy była ona jeszcze całkiem malutka. Tajemniczą wieść zawsze kończono sakramentalnym: „Kto zmienia miejsce – zmienia los”.

W wyobraźni dzieci Perejasław jawił się jako miasto niewymownie duże, pełne czaru i owiane tajemnicą. – Perejasław jest miejscem pewnego zarobku – mówili między sobą starsi, a młodzież przysłuchiwała się, niewiele jednak z tego rozumiejąc. Czuli tylko, że Perejasław to jakaś bardzo dobra rzecz. Cieszyli się więc i jednocześnie żal im było rozstać się z małym miasteczkiem, w którym spędzili najlepsze swoje lata, złote

czasu dzieciństwa.

„Co się stanie – zastanawiał się mały Szolem – ze starą bóżnicą woronkowską, kiedy wszyscy się rozjadą? Kto będzie siedział na ich miejscach przy ścianie wschodniej? A góra wznosząca się po drugiej stronie bóżnicy, co z nią będzie? A co ze skarbem? Czyżby przepaść miało całe to dobro zakopane od wielu lat głęboko w ziemi, przeznaczone dla Żydów? Czyżby doprawdy miało to wszystko zniknąć, szesznać?”

Chociaż dorośli mieli się na baczości przed dziećmi i starali się w ich obecności nie rozmawiać o ważnych sprawach, to jednak tu i ówdzie powtarzano: – „Zmienia miejsce – zmienia los”, a z zarobkiem krucho. – Dlaczego ze zmianą miejsca zamieszkania przychodzi odmiana losu, odmiana szczęścia? I co to właściwie jest „stały zarobek”? I co to znaczy, że „krucho”? Tego jeszcze dzieciarnia nie mogła pojąć. Jednak po minach dorosłych malcy domyślali się, że coś się dzieje, coś się szykuje.

Nachum, zawsze spokojny, milczący i nieco melancholijny, jeszcze bardziej spokorniał i przycichł. Zawsze pochylony, teraz jeszcze mocniej się przygarbił. Na jego wysokim białym czole pojawiło się dwa razy więcej zmarszczek. Zamykał się w pokoju ze swoim młodszym bratem, stryjem Nyslem, palił papierosa za papierosem, dusili się we dwójkę dymem i coś tam w tajemnicy szeptali. Ostatniej zimy postanowiono u Rabinowiczów odprawić meławe małke dla całego miasta. W ostatnie święto Symchat Tora i Szmini Aceret⁹³ wprawdzie jeszcze hulano, a stryjek Nysl

⁹³ *Szmini Aceret (Szmini Aceres)* – ósmy dzień Sukot. W tym dniu zazwyczaj odmawia

nawet zamienił się czapką ze stanowym przystawem i tańczył z nim na dachu, ale to już było nie to. To już nie była ta hulanka i ten taniec z lat poprzednich. Nawet ciocia Hudl złagodniała, nie miała już w sobie tyle jadu. Cała rodzina była jak maszyna, która obluźowała się, z której powypadały śrubki.

Jedna tylko babcia Minda trzymała fason. Dumna, twarda niczym dąb. Tak samo dbała o czystość jak dawniej. Zawsze schludna. Tylko owoce sobotnie, zdaje się, nie były już takie jak dawniej. Jabłuszka nieco przymrożone, zleżałe i chyba trochę nadgniłe. Orzeszki nadpsute, a do fig dobrały się robaki...

Ale co do modlitwy, to babcia Minda modliła się jak zwykle. Świece błogosławiła po staremu. Robiła to głośno, z jakimś szczególnym zamiłowaniem, zupełnie jak mężczyzna. Przy tym zawsze rozgadała się i pogawędziła trochę z Panem Bogiem. Coś tam się działo w rodzinie Rabinowiczów. Coś tam planowano. Coś tajemniczego.

Tak było przez całą zimę. Pewnego dnia tajemnica pękła niczym bąbel, wyjaśniła się. Prawda wyszła na wierzch jak oliwa. Całe miasto dowiedziało się, że wspólnik Nachuma od posesji, Żyd nadziany, z wiecznie czerwonym nochalem (nazywał się Herszl, a że nie wymawiał litery „sz”, obdarzono go imieniem Hersl), doprowadził go do kompletnej ruiny. Po prostu okradł. Po cichu wygryzł Nachuma z posesji. W mieście powstał krzyk: – Jak to, reb Nachumie, dlaczego pan milczy? Dlaczego nie pociągnie go pan do rabina, do ludzi? – A gdy doszło już do

spotkania z rabinem i z ludźmi, Hersl wszystkich wyśmiał. Rzucił przy tym kilka grubiańskich słów, właśnie z tym swoim „s”. Wstyd powtórzyć.

– Tylko łobuz tak robi! – krzyczał stryjek Nysl. Palił papierosa za papierosem, wymachiwał rękami i przysięgał, że tego hultaja, tego łobuza, tego chama wpakuje do więzienia co najmniej na dwadzieścia pięć lat. Żeby nawet nie miał nazywać się Nysl. Co to znaczy zapakować? Co to za więzienie? Jakie dwadzieścia pięć lat? Starszy brat Nachum starał się go mitygować⁹⁴ i ostudzić. Uśmiechał się przy tym i tylko zaciągał grubym papierosem. Podłożono świnię i trzeba teraz jakoś z powrotem do Perejaśławia. „Kto zmienia miejsce – ten zmienia los”?...

Były to słowa jasne i proste. Dzieciarnia pojęła je, aczkolwiek jedno było wciąż jeszcze niezrozumiałe: o jakiej świni mowa? Podejść do ojca i wprost zapytać – na to nikt by się nie odważył. Zbyt wielki szacunek żywili do ojca, aby ni z tego, ni z owego podejść i spytać: – Tato, co za świnię ci podłożono? – Dzieci spostrzegły tylko, że ojciec smuci się i chodzi przygarbiony. Każde jego westchnienie sprawiało im serdeczny ból.

– Wy tu zostaniecie przez lato, żeby skończyć naukę. Byłby to bowiem grzech przerwać ją w połowie roku szkolnego. Jak Bóg zechce, to pošlemy po was furmankę na Święto Kuczek – rzekł do nich ojciec pewnego letniego dnia. W tym czasie

⁹⁴ *mitygować* – powstrzymywać kogoś od zbyt gwałtownego zachowania. [przypis edytorski]

podjechały akurat pod dom Rabinowiczów dwa wozy z budami. Takie same jak te, które kiedyś podjechały pod dom Szymeły. Zaczęło się pakowanie. Nastąpiło pożegnanie z miastem. Nie było wcale jednak wesoło, jak przy wyjeździe Szymeły. Jakiś osobliwy smutek ogarnął wszystkich. Na twarzach malowały się głębokie cienie. Całe miasto współczuło Rabinowiczom. – Oby Bóg miał ich w opiece. „Kto zmienia miejsce, ten zmienia los”. Litość bierze. Nieboraki...

Tak mówiono wszędzie. Dzieci niewiele z tego rozumiały. Litość? Dla kogo? Jeśli już koniecznie litować się, to przede wszystkim nad babcią Mindą, która na stare lata musiała na nowo skleić swoją drewnianą skrzynię i pakować się do drogi. Teraz dzieciarnia miała okazję zajrzeć do skrzynki i zobaczyć, co się w niej znajduje. Poza wyprasowanymi jedwabnymi chustami świątecznymi, sukniami z czystego jedwabiu lub aksamitu uszytymi w dziwnych fasonach, o krótkich rękawkach, leżał tam w kątku biały lniany materiał. Był to całun staruszki, przygotowany nie wiadomo od kiedy na wypadek jej śmierci, oby nastąpiła po stu dwudziestu latach. A kiedy śmierć już nadejdzie, nie potrzeba liczyć na dzieci. Wszyscy o tym wiedzieli. Mimo to dzieciarnia nie mogła się powstrzymać i złośliwie zapytała babcię: – Na co ci tyle białego materiału? – pytanie to zadał nie kto inny, tylko najmniejszy wzrostem i największy łobuz – autor tych wspomnień.

Dostało mu się za to od babci. Dała mu solidną lekcję moralności. Zamierzała też podstawić mu stołek u tatusia. Od

dawna już chciała się dostać do tego małego diablaka, tego wisusa, który za jej plecami przedrzeźnia ją i małpuje sposób, w jaki się modli, jak błogosławi świece (rzeczywiście tak było), słowem – opowie wszystko ojcu, absolutnie wszystko. Inaczej nie zazna spokoju. Ale nic z tego. Nie pisnęła słowa, ani jej się nie śniło donosić. Przeciwnie, przed wyjazdem, w czasie pożegnania, ucałowała każde dziecko z osobna i rozpłakała się tak, jak tylko matka może płakać. A potem, gdy trzeba było już wsiadać do wozu i odjechać, po raz ostatni odezwała się do dzieci:

– Bądźcie zdrowe, dzieciątka moje! Oby Bóg dał, abyście wszystkie dożyły dnia mego pogrzebu i mogły mnie odprowadzić na cmentarz.

Dziwne jakieś życzenie.

20. Ludzie rozjeżdżają się

Szmuel Elijahu gra w szachy. Pożegnania. Kobiety wdają się w pyskówkę. Trzeba być z żelaza, aby się nie śmiać

Dzień wyjazdu Nachuma, syna Wewika, był dla miasta dniem żałoby, zaś dla dzieci dniem radości. Istnym świętem Symchat Tora. Toć nie bagatela. Po pierwsze, nie ma nauki. Kto w taki dzień pójdzie do chederu? A po drugie, coś się przecież dzieje! Zbierają się, pakują, przesuwają szafy. Brzęczą szklanki, dźwięczą noże i widelce, nadjeżdżają wozy. Posiłek je się tak, jak w przededniu Pesach, szybko, na jednej nodze. I wreszcie te kilka groszy, które dostajemy tytułem „odjezdnego”. Na razie ich nie widać. Na razie ludzie przychodzą tylko po to, aby odjeżdżający powiedzieli im „bądźcie zdrowi”, a oni na to: – Jedźcie w zdrowiu! – Przychodzą, aby nawzajem życzyć sobie wielu dobrych rzeczy: zdrowia, powodzenia, szczęścia i wszystkiego najlepszego.

Wcześniej od innych zjawił się Szmuel Elijahu, rabin i kantor w jednej osobie. Szmuel Elijahu był częstym gościem u Rabinowiczów. Przychodził niemal codziennie. Jak porządny i uczciwy Żyd nie opuszcza modlitwy, tak on nie opuszczał ani jednej partii szachów z Nachumem. Szachy to dla niego największa przyjemność. Wygrać partyjkę z Nachumem to już szczęście. Dziwny ma jakiś nawyk Szmuel Elijahu! Gdy

przegrywa – krzyczy, gdy wygrywa – też krzyczy. Ale wygrywać, to rzadko wygrywa. Najczęściej przegrywa. A gdy przegrywa, krzyczy, że popełnił błąd, że wykonał nie ten ruch, który chciał, że gdyby poszedł inaczej, to przeciwnik z pewnością przegrałby.

Jeśli stryj Nysl był obecny przy takiej grze, nie znosił tego krzyku. Zwykle pytał: – Dlaczego pan krzyczy? – Ojciec jednak był człowiekiem innego pokroju. Cierpliwie i spokojnie wysłuchiwał gorączkującego się Szmuela Elijahu, uśmiechał się do własnej brody i grał dalej. Matka Szolema, Chaja Estera, nie posiadała się z oburzenia. W takiej chwili, na godzinę przed odjazdem, grać w szachy? – Ostatni już raz, Chajo Estero, oby pani była zdrowa! Wy wyjeżdżacie, ludzie rozjeżdżają się, nikt nie pozostaje. Z kim będę grał w szachy? – błaga ją Szmuel Elijahu, po czym zsuwa czapkę na tył głowy, zabiera się do gry, rozkręca się i krzyczy, że nie wyszło jak chciał, a Nachum wtedy uśmiecha się i pozwala mu wykonać inny ruch.

Ale tym razem gra nie klei się. Przychodzą coraz to nowi ludzie. Nie wypada być nieuprzejmym. Trzeba przerwać grę, zwłaszcza gdy zjawia się sąsiad, reb Ajzyk. Wprawdzie ma kozią bródkę i modli się cieniutkim głosikiem, ale jest chasydem lubawiczowskim i do tego porządnym człowiekiem. Tuż po nim przychodzi Don.

Don to młody człowiek o białych włosach. To znaczy o żółtych. Bo włosy ma białe, ale taką bielą wosku. Z natury milczy. Z nikim nie rozmawia. Teraz jednak, gdy Nachum wyjeżdża z Woronki, Don rozgadał się. Sam by wyjechał,

powiada, gdyby miał dokąd. A niech to szlag trafi! Chętnie odsprzedałby swój interes, gdyby miał komu. A niech to szlag trafi! Szmuel Elijahu patrzy na niego jak zbój, ale Don nie przestaje mówić. No i rozgadał się człowiek! Milknie dopiero wtedy, gdy przychodzą inni ludzie. A nadchodzi całe miasto. Jeden za drugim. Najpierw mężczyźni, a potem kobiety. U wszystkich nosy spuszczone na kwintę. Wszyscy zatroskani, zasmuceni. Niektórzy płaczą. Jedna kobieta przyniosła nawet cukierki dla dzieci. Zaczyna Żydówka.

Bardzo zapłakane są dwie niewiasty, których wesele odbyło się w domu Rabinowiczów. Jedna to dziewczyna Fruma ze ślepych oczu, druga to Fejgele Diabeł. Obie tak szczególnie wycierały sobie oczy, tak smarkały i wydawały jakieś niesamowite piski, że Szolem, ten mały diablak i wesołek, nie mógł się powstrzymać, aby ich natychmiast nie przedrzeźnić. Wycierał sobie oczy, smarkał, piszczał zupełnie jak one. Dzieciarnia pokładała się ze śmiechu.

I wtedy zaczęła się kołomyjka. Co to za śmiech? Matka Chaja Estera, kobieta z natury sroga, a w tej chwili szczególnie zła i zdenerwowana wyjazdem, porzuciła swoją robotę i wylała na dzieci całą gorycz swego zbolełego serca. Chciała koniecznie dowiedzieć się, co to za śmiech? Co to za radość? A Fruma przyszła jej z pomocą i oświadczyła, że gotowa jest przysiąc na wszystkie świętości, iż sprawcą tych śmiechów jest ten mały huncwot, ten samowolec, ten łakomczuch, żarłok i żłopak, ten Iwan Poperyło, ten wyrzutek i wyrodek... A miała akurat na

myśli autora niniejszej książki, który w owej chwili stał jak nieborak, jak niewiniątko Bogu ducha winne. Z całą pewnością nie ominęłaby go porządna nauczka na odjezdne, gdyby akurat w sprawę nie wmieszała się babcia Minda. Wybawiła go od sromotnego lania. Widząc, że z wnuczką krucho, babcia zwróciła się na głos do zgromadzonych ludzi:

– Dzieciątka! Panuje u nas od lat najdawniejszy zwyczaj, że przed wyjazdem trzeba przysiąc na małą chwilę...

Babcia Minda usiadła na kanapie, która była już za stara, aby zabierać ją do Perejasławia, a kupić jej nikt nie chciał. Wszyscy poszli w jej ślady i usiedli. Zapanowała na chwilę cisza. Słysząc było tylko przelatującą muchę. I nastąpił ostatni akt. Najcięższy; pożegnanie i pocałunki. Ale, dzięki Bogu, jakoś to przeszło. Wozy już gotowe. Jeszcze raz „bądźcie zdrowi” i jeszcze raz „szerokiej drogi”. I znowu chustki do oczu, pociąganie nosem i piski. Boże, ratuj! No i powstrzymaj się tu i nie naśladowaj tych bab, gdy twarze w płaczu tak bardzo się wykrzywiają. Piszczą i piszczą. Nie dają nawet innym należycie się pożegnać. Nagle smutek ogarnia duszę. Litość bierze na widok ojca, żal matki, żal babci Mindy. Oto wynoszą jej skrzynię z żelaznym okuciem. Leży tam materiał na całun. Coś mnie za serce ścisnęło. Coś targnęło moją duszą. Zbiera mi się na płacz. Zwłaszcza gdy widzę, że nawet stryj Nysl wyciera sobie oczy ukradkiem...

Czyżby stryj Nysl płakał? Jak to możliwe? Ojciec przywołuje dzieci po kolei, wyciąga z portmonetki srebrne monety i każdemu wręcza po jednej. Mama też tak robi. A babcia

Minda zawczasu jeszcze przygotowała dla każdego papierowe zawiniątko z drobniakami. Grosz do grosza, i to ładny grosz. Olaboga, niech już wozy ruszają! I oto tłum wysunął się naprzód. Jedźcie z Bogiem! Powodzenia! Z budy wychyla się głowa babci Mindy. Jakby chciała jeszcze raz, ostatni, objąć spojrzeniem miejsce, które opuszcza na zawsze, na wieki... Znowu ogarnia nas smutek. Trwa chwilę i znika. Chcielibyśmy już przeliczyć nasze drobniaki...

Po wielkim rozgardiaszu zapanowała cisza. Zaległo milczenie. Wozy odjechały. Pozostał po nich gęsty kurz, zapach smoły i jakaś dziwna pustka. Tłum powoli zaczął się rozchodzić. Pojedynczo, z pewnym uczuciem wstydu. Jeden tu, drugi tam. Każdy czuł się jak obity różgami. Stryjek Nysl wyparował jak kamfora. Najdłużej ze wszystkich pozostał Szmuel Elijahu, kantor. Długo jeszcze stał i patrzył za odjeżdżającymi. Rękami zasłaniał oczy przed słońcem, które, prawdę mówiąc, wcale tak mocno nie świeciło. Następnie z gorzkim uśmiechem na ustach wycedził do siebie: – Ludzie rozłazą się jak te robaki – i trzy razy splunął.

21. Gergele Złodziej

Mojsze, rzezak i cadyk. Gergele, młodzieniec z pękniętą wargą. Sztuka zdobywania jabłek. Ujęty podczas kradzieży tabaki. Śmierć rebego

To jasne, że dzieciarni nie pozostawiono w miasteczku na pastwę losu. Ojciec chciał znaleźć dla nich mełameda, który byłby jednocześnie i nauczycielem, i wychowawcą, i opiekunem. To znaczy, że dzieci miałyby u niego pobierać naukę i być na wikcie. Rebe miał nad nimi roztaczać opiekę. Poszukiwania ojca zakończyły się sukcesem. Rebe i opiekun w jednej osobie, którego ojciec wyszukał dla dzieci, był ze wszech miar udany. Był to właściwie syn starego rzezaka rytualnego, Mojsze rzezak...

Był to bardzo wartościowy młodzieniec. Istne cacko. Biegły w nauce, doskonały znawca *Tanachu*. Prawdziwy brylant. Miał tylko jedną wadę – ze zdrowiem był nie całkiem w porządku. Zbyt dobry z natury, zbyt miękki. Swoich uczniów wiódł całkiem nową drogą pedagogiczną – bez różg, tylko za pomocą dobrego, ciepłego słowa. Dzieci do tego zupełnie nie były przygotowane, dlatego też wodziły rebego za nos i nieraz wyprowadzały go w pole. Nie uczyły się, nie modliły się, a gdy rebe zachorował na dobre i musiał położyć się do łóżka, zaczęły po prostu zbijać baki. Zaprzyjaźniły się wtedy z Gergele Złodziejem.

Był to sierota, biedne chłopczysko o bękartach oczkach pełnych sprytu, źle odziany i bosy, z pękniętą wargą. Istny włóczęga. Naprawdę nazywał się Gerszon, ale jego matka Sure Fejge, kucharka, przekreśliła jego imię, jak twierdził. Przezwisko zaś „Złodziej” przypiął mu jego przybrany ojciec Josef Meir, drwal, chociaż wtedy jeszcze Gergele nikomu niczego nie zwędził. Gdyby, powiadał, nie nadano mu tego przydomka, to być może nigdy nie zostałby złodziejem. Teraz to już na złość zostanie złodziejem. Oby tylko było co kraść.

W taki sposób Gergele Złodziej z ważną miną pysznił się przed Szolem, synem Nachuma. Ten był zachwycony chłopakiem o bystrych oczach i pękniętej wardze. Poznali się w chederze rzezaka Mojszy. Przez cały tydzień Mojsze był mełamedem w chederze, tylko w czwartek uprawiał zawód rzezaka. W ten dzień wszystkie kobiety i wszystkie dziewczęta przychodziły do niego ze swoimi kurami, kaczkami i gęsiami. Razem z nimi przypałętał się jakiś młodzieniaszek. Był to właśnie Gergele. Przyniósł do zarżnięcia kurę. Mama jego, kucharka, szykowała kurę na sobotni obiad.

Czekając na rzezaka Gergele zabawiał kobiety i dziewczęta. Urządzał nieprawdopodobne kawały. Odstawiał takie wariackie numery z piskiem i tańcem, że wszystkie baby zaczęły go przeklinać i wyzywać od złodziei, przechrztów, renegatów i wszelkich choler, pokładając się jednocześnie ze śmiechu. „To mój typ” – powiedział sobie w duchu Szolem i szybko zaprzyjaźnił się z nim. Oczywiście w tajemnicy. Nikt nie mógł

o tym wiedzieć, dziecko bowiem z dobrego domu nie mogło sobie pozwolić na przestawanie z synkiem kucharki, i do tego złodziejem.

W tej przyjaźni z chłopcem, z którym mógł spotykać się tylko potajemnie i tylko o zmroku, między *Minchą* i *Maariw*, była jakaś szczególna przyjemność, szczególna słodycz. Można przecież trochę pogadać, odstawić kilka sztuczek i puścić się biegiem ze szczytu góry. I jakaż to była radość, gdy mogłeś mu wetknąć ukradkiem parę groszy, cukierek lub kawałek chleba. Gergele przyjmował wszystko z godnością i radością. W żaden sposób nie traktował tego jako jałmużnę. Nie dziękował nawet. Brał jako rzecz należną mu, z ochotą i łapczywie. Kazał nazajutrz również coś przynieść. Udzielał rad, jak zdobyć, to znaczy zwyczajnie ukraść! Ale nie na chama, tylko delikatnie.

Gergele na przykład nauczył swoich kolegów, i to w bardzo krótkim czasie, jak można zdobyć jabłka i grusze na targu. Całkiem darmo. Nie z obcych sadów, broń Boże. Jakież bowiem dziecko z dobrego domu odważy się przeleźć – niczym goj – przez parkan obcego sadu, gdzie kręci się stróż gotowy połamać kości i waruje pies zdolny rozszarpać człowieka? Zdobyć darmo jabłka, ile dusza zapagnie, nauczał Gergele, można lekko, w sposób niemal zabawowy. Człowiek nie narusza wówczas nawet przykazania Bożego. A jak to jest możliwe? Posłuchajcie i sami powiedzcie, czy to kradzież.

Jest lato. Grusze i jabłka dopiero dojrzały. Zbliża się wieczór. Na rynku siedzą jeszcze baby z rozłożonym na ladach lub na

ziemi towarem. Gadają o urodzaju na owoce. Mówią o tym, że od dłuższego czasu nie ma deszczu. A że nie ma deszczu, więc pełno kurzu, a że kurzu dużo, to i roi się od pcheł... Mężowie tych kobiet są w tym czasie w bóżnicy. Odbęniają *Minchę* i *Maariw*. I wtedy jest najlepsza pora. Wtedy chłopaki wyruszają do „pracy”. Zdobywają darmowe jabłka. Chłopaki na bosaka, uzbrojeni w kijki z wbitymi w nie gwoździami wygiętymi w kształcie haczyków, ruszają biegiem „w pole”. Nazywa się to „poczta”. Jeden jest koniem, a pozostali trzymają go za uzdę, popędzają, gwizdzą i pokrzykują: – *Paszot!*⁹⁵ – A tuż przy stosach jabłek i gruszek Gergele wydaje komendę: – *Pałki dałoj!*⁹⁶ – Bractwo puszcza w ruch kijki z haczykami. A że od ich biegu podniósł się ogromny kurz, nikt nie jest w stanie zauważyć, jak na haczyki nadziewają się jabłka i grusze.

I zaraz bractwo daje dyla. Po czym Gergele kładzie się na trawę, a chłopaki obok niego. Dobierają się do swego łupu. Do jabłek i gruszek. Jedni wypychają sobie nimi gęby, inni kieszenie. To ci życie! Nie sama kradzież jest słodka. Nie jabłka są słodkie. W ogóle jest wesoło. To ci frajda.

Gergele to przede wszystkim chłopak wesoły, mimo że ma ciężkie życie. Biedne chłopaczysko. Jest sierotą – kto się za nim ujmie? A w dodatku złodziej! Nute, szames⁹⁷ z bóżnicy, przyłapał go kiedyś z cudzym modlitewnikiem w rękę, a Ruda

⁹⁵ *paszot!* (ros.) – poszedł! [przypis edytorski]

⁹⁶ *Pałki dałoj* (ros.) – pałki w dół. [przypis edytorski]

⁹⁷ *szames* – posługacz w bóżnicy. [przypis edytorski]

Basia, która wypieka obwarzanki i bliny⁹⁸, wytrzymała z jego bluzy suchary. Takiemu to i warto, bo to mycwa, połamać kości. A na domiar złego ma pysk niewyparzony. Coś strasznego. Każdemu podpadł. Każdy przykleił mu jakieś inne przezwisko. A że sam jest bez opieki, puszczone na żywioł, nie ma nic do stracenia. Podstawia więc pierwszemu lepszemu swoją bosą nogę, niczym pogrzebacz, a ten wali się i rozciąga jak długi. Nie zważa przy tym na osobę. Może to być sam rabin, rabinowa lub żona rzeźnika rytualnego. Bęc i wszyscy leżą martwym bykiem!

To się bardzo podobało młodemu Szolemowi. Z czasem tak sobie upodobał Gergele, że zaczął mu przynosić całe pajdy chleba ze stołu rzeźnika. Oczywiście kradzione. Pewnego razu zwędził nawet kostkę cukru. Gergele lubił gryźć cukier. Najbardziej jednak przepadał za tytoniem. Uwielbiał palić papierosy. Ale jak je zdobyć? Rebe jest chory i nie pali. A ojca nie ma akurat w domu. Gergele dał radę Szolemowi. Niech wstępuje częściej do stryja Nysla. Ten przecież pali najlepszy „Diubek”. Była to dobra rada. Stryj miał hojną dłoń. Puszka z tytoniem była zawsze otwarta. Dostęp do niej nie nastęczał trudności. Stała na gzymsie za lustrem. Mały Szolem zaczął często tam zaglądać. Zapuszczał rękę, wyciągał solidne porcje „Diubeka” i dawaj ładować do kieszeni.

Ale miał pecha. Za sprawą chyba samego szatana przypętała się pewnego razu ciocia Hudl. Zobaczyła, co się święci. Licho

⁹⁸ *bliny* – rodzaj grubych naleśników z ciasta drożdżowego, danie kuchni rosyjskiej. [przypis edytorski]

sprawiło, że właśnie ona musiała to zobaczyć. I tu zaczęło się. Rozpętało się piekło na ziemi. Nie było takiej kary na świecie, na którą by nie zasłużył mały Szolem... Najwyższy wymiar. Szolem pragnął już tylko jednego. Niech będzie najwyższy wymiar, niech będzie kara, byle jak najszybciej! Bóg jednak sprawił cud. Miał szczęście. Właściwie było to nieszczęście. Wielkie nieszczęście. Do wuja Nysla nagle przybyli ludzie wzywający go, aby natychmiast szedł do rzezaka. Rebe Mojsze jest w agonii. Umiera. Całe miasto jest już u niego.

Dla młodego przestępcy był to kolejny cios. Może większy niż poprzedni. Żadnego innego rebego uczniowie tak nie kochali. Był to istny anioł, a nie mełamed. Dopiero wtedy, gdy jego trumnę przykrytą kirem zaniesiono na cmentarz, zaś całe miasto szło w kondukcje pogrzebowym, dzieci Nachuma, syna Wewika, uświadomiły sobie, jaki wspaniały był to rebe. Prawdziwy brylant. Jak dalece nie potrafiły go uszanować! I potoczyły się z ich oczu łzy. Straty brata tak nie opłakiwano. Morze łez wylali po stracie młodego rebego, rzezaka Mojsze.

Najbardziej płakał i rozpaczał Szolem. Czuł się winny wobec rebego. Sądził, że ciężko zgrzeszył wobec niego. Rebe uważał go za najlepszego i najuczciwszego ze swoich uczniów. W rzeczywistości malec bardzo rzadko był przygotowany do lekcji w czwartki. Udawał, że wie, kiwał głową i potakiwał. Podśpiewywał i machał ręką. Oszukiwał! Oszukiwał! A ileż wersetów z modlitwy przepuszczał. Połowę tekstu odmawiał. A bywało, że w ogóle się nie modlił. Nie odmawiał modłów: ani

Minchy, ani *Maariw*. Uganiał się tylko za Gergele Złodziejem. Drażnił przez płot psy goja albo kradł jabłka na targu. Tu, na tym świecie, rebe nie miał o tym pojęcia. Nie uwierzyłby w to zresztą. Tam jednak, na tamtym świecie, może już wie? Może wszystko? Wszystko?

22. Bałagufa⁹⁹

Meir Welwl bałagufa i jego rumaki. Wujek Nysl wśród urwisów. Kryty wóz Meira Welwla i jego trzy rumaki. Bałagufa opowiada swój życiorys

Pod koniec lata (trwały jeszcze upały, ale w powietrzu unosił się już zapach miesiąca Elul i woń jesieni) nadjechał z wielkiego miasta Perejaśławia kryty wóz zaprzężony w trzy konie. Zajechawszy pod dom wuja Nysla bałagufa, wielce rozmowny Żyd imieniem Meir Welwl, wygramolił się z budy i wyciągnął gdzieś z głębi kieszeni liścik od Nachuma, syna Wewika, do swego brata Nysla Rabinowicza.

W liście Nachum donosił, że furmankę wysłał po to, aby sprowadzić dzieci. To po pierwsze. Po drugie zaś przysłał dzieciom trzy pary bucików z cholewami. Po parze na każde dziecko. Po trzecie zaś – żywność. Ciastka, jajka na twardo i gruszki. Na dwa dni. Tyle trwa droga. Poza tym specjalnie od babci Mindy ciepłą kołdrę i stary szal dla opatulenia dzieci, jeśli by, nie daj Bóg, było zimno lub padał deszcz. Bałagule przykazano, aby, broń Boże, nie zapomniał posadzić dzieci na wóz wczesnym rankiem następnego dnia, tuż po modlitwie. Przenocować mają w Baryszpolu. W taki sposób, jeśli Bóg da, zdążą przybyć do Perejaśławia, do domu, pod wieczór

⁹⁹ *bałagufa* – furman. [przypis tłumacza]

następnego dnia.

Skąd wziąć farbę, by odmalować radość dzieci Nachuma, gdy przekazano im treść listu? Zwłaszcza że do listu były dołączone trzy pary butów? Z czego cieszyć się najpierw? Z nowych butów? Czy z tego, że przez dwa bite dni będą podróżować wozem zaprzężonym w trzy konie? Czy z tego, że pojutrze wieczorem znajdą się w wielkim mieście Perejaślawiu?

– A podejdźcie no tu, łobuziaki, pędraki, nicponie! Siadajcie i przymierzajcie migiem buty z cholewami! – Tak zakomenderował stryj Nysl i przy sposobności każdego z nas obdarzył prztyczkiem, to w nos, to w ucho.

Stryj Nysl kochał dzieci. Własne, cudze. Wszystko jedno. Dlatego też szczonek¹⁰⁰ od niego nie był żadną karą. Była to w gruncie rzeczy przyjemność, nawet gdy bolało przez dobre pół godziny. Klaps wymierzany nam przez człowieka, którego kochamy, jest też swego rodzaju podarunkiem.

A dzieci kochały stryja Nysla. Już choćby dlatego, że on jeden z całej rodziny nigdy nie karał, nie strofował, nie prawił morałów i nie popędział do nauki i modlitwy. Przeciwnie, z dziećmi sam bawił się jak urwis. Lubił pośmiać się, płatać figle. Bywało, że i on czasem wpakował w nos jakiemuś Żydowi, który zasnął w bóżnicy, porządną porcję tabaki, a gdy ten zerwał się ze snu i potężnie kichnął, i rozkaszał się, stryjek Nysl wraz z urwisami wołał: – Na zdrowie! – A co wyprawiał w dni święta Symchat Tora! Wtedy był największym urwisem ze wszystkich urwisów.

¹⁰⁰ szczonek – prztyczek. [przypis edytorski]

Napoił pijaka Gedalię wódką, a potem wraz z urwisami związał mu ręce i nogi jak baranowi i zamknął w celi, jedną zaś rękę przywiązał do sznura zaczepionego o serce dzwonu. Gdy Gedalia po wytrzeźwieniu chciał wstać, pociągnął mimo woli za sznur i dzwon rozdzwonił się jakby na pożar. Wtedy całe miasto zbiegło się z krzykiem i lamentem: – Co się pali?

Rozumiecie więc już, dlaczego tak ciężko było rozstać się z takim stryjkiem. Przy pożegnaniu pocieszał chłopaków słowem i szturchańcem: – Nie ma sprawy! *Niczewo*. Jeszcze się zobaczymy! I ja tu długo nie zostanę!

Po włożeniu butów z cholewami chłopaki poczuli się w swoim żywiole. Wyrośli! Natychmiast rzucili się do wozu z trzema końmi. Poznali bałagułę, który miał ich zawieźć do wielkiego miasta.

Wóz jak to wóz. Kryty budą z szarego łatanego brezentu. Wewnątrz wyścielany słomą i rogożą¹⁰¹, zapowiadała jazdę wygodną i przyjemną. Miejsca do siedzenia miękkie. „Przyjemności” jazdy dały znać o sobie po pierwszym dniu podróży. Wszystkie gnaty bolały. Tyle o wozie. Koniki zaś zasługują na odrębne opisanie. Choćby w paru słowach. I każdy konik z osobna. Albowiem te trzy koniki pasowały do siebie jak pięść do oka. Prawdziwa trojka żydowska. Zacznijmy od środkowego, najważniejszego. Nazywał się Maudryk. Dlaczego Maudryk? Tego nikt nie wie. Może dlatego, że imię Maudryk pochodzi od słowa *mudryj*, co oznacza „mędrzec”. Bogiem

¹⁰¹ rogoża – mata upleciona z sitowia. [przypis edytorski]

a prawdą Maudryk do zbyt mądrych nie należał. Za to lat miał wiele. To rzucało się w oczy. Morda stara, z oczu lało się, ogon wyłysiały. Z szerokiego niegdyś zadu wystawały kości. Mimo to obowiązek ciągnięcia wozu spoczywał na nim. Pozostałe bowiem, dwa boczne, udawały tylko, że ciągną. Te dwa „rumaki” też miały swoje imiona. Jednego nazywano Tancerzem, jego chód przypominał bowiem taniec. Nie przestawał podtańcowywać, ale każda noga tańczyła sobie oddzielnie, bez oglądania się na drugą. Z takiego tańca, rzecz jasna, nic nie wychodziło. Przeszkadzał tylko Maudrykowi. Poza tym wozem trzęsło niemiłosiernie. Mogło wytrząsnąć duszę. Wyobraźcie sobie jednak, Meir Welwl nie popuszczał Tancerzowi. – Już ty u mnie potańczysz! – Do tego dodawał uderzenie biczem albo kijem, do którego bat był przywiązany. Przez całą drogę okładał konia biczem. Uczył go rozumu. Nie na wiele to się zdało. Tancerz tym się nie przejmował. Przeciwnie, uderzony mocniej, odpowiadał pięknym za nadobne. Tylnymi nogami jeszcze żwawiej tańczył. Jakby chciał powiedzieć: „Chcesz, to masz!”. Wzrostu był małego, znacznie mniejszy od Maudryka. Pysk za to miał o wiele mądrzejszy. Bez porównania. Bardzo możliwe, że Meir Welwl nie przesadzał wcale chwając się, że Tancerz należał kiedyś do najwyżej cenionych rumaków. Ktoś jednak rzucił na niego urok i coś się stało z jego nogami. Gdy wszelkie środki zawiodły, dostał się w ręce Meira Welwla, a ten daje mu popalić, daje mu szkołę.

Za to trzeciego „rumaka” Meir Welwl zostawiał w spokoju.

Bardzo rzadko, chyba tylko po to, aby nie wyjść z wprawy, smagał go biczem. Była to szkapka niska i gruba. Nogi miała kosmate, a bałagała nazywał ją Arystokratką. Miała bowiem szlachetny rodowód. – Była kiedyś – tak opowiadał w czasie podróży – własnością popa. – Skąd wzięła się u niego? Jest to cała historia. Nie da się jej opowiedzieć ze wszystkimi szczegółami. Po pierwsze, było to bardzo dawno temu. Jakże więc dokładnie pamiętać? Po drugie, cała historia w ustach Meira Welwla jakoś się nie kleiła.

Jedno, co zostało w pamięci Meira Welwla, to fakt, jak sam z uśmiechem opowiadał, że Arystokratka pochodziła z kradzieży. Broń Boże, Meir nie miał z tą kradzieżą nic wspólnego. Ukradli ją całkiem inni ludzie. On ją tylko kupił za pół darmo. Nie miał wtedy zielonego pojęcia o tym, że była kradziona. Oby tak nie miał pojęcia o biedzie i nędzy! Gdyby wiedział, że pochodzi z kradzieży, i do tego u popa, za żadne skarby nie tknąłby jej. Nawet gdyby go ozłocili. Mówiąc to, Meir Welwl robi bardzo poważną minę. Tak jest. Gdyby nawet obsypali go złotem! I nie dlatego, że uważa siebie za jakiegoś świętego i boi się tknąć kradzionych rzeczy. Co to mnie obchodzi, że ktoś jest złodziejem? Skoroś złodziej, to dostaniesz za swoje na tamtym świecie. Z całkiem innej przyczyny nie kupiłby tego konia. Nie lubi policji. Nie znosi jej jak wieprzowiny. Nie chce mieć żadnych spraw z policją. Już kiedyś miał na plecach garb, nieszczęście, oszczerstwo. Wrodzy furmani podstawili mu kiedyś nóżkę. Taki Jankiel Bułgacz, szlag by go trafił!

I tu Meir Welwl zaczyna nową historię. Niby dygresyjną. Gadkę, jak już przedtem podkreśliliśmy, miał nie najgorszą. Bajerował chłopaków aż do samego Baryszpola i od Baryszpola do Perejaślawia. Gęba mu się nie zamykała. Wszystkiego dowiedziały się od niego. Od czasów, gdy jako chłopiec Meir Welwl był poganiaczem koni u Jakuba Bułgacza, a potem gdy po ożenku przeszedł na swoje i został samodzielnym bałagułą, tenże Jankiel Bułgacz prześladował go, nękał i niszczył. Ma go jednak gdzieś...

I o swojej żonie opowiedział im bałaguła. Jaka to była ślicznotka w czasach swego panieństwa. Przepadał za nią. Usychał z miłości. O mało co nie umarł. Taka to była krasawica. Dziś, gdyby znowu został kawalerem, nie zechciałby spojrzeć na nią. Wtedy jednak był jeszcze żółtodziobem. Chłopaki nie bardzo rozumieli słowo „żółtodziób”. Kiedy Meir Welwl dalej snuł swoje wspomnienia, dowiedzieli się, że jego żona w niespełna rok po ślubie urodziła mu chłopczyka i potem jeszcze jednego chłopaka, wtedy zaczęli pojmować, co to znaczy „żółtodziób”.

Ukończywszy opowieść o własnym życiu, Meir Welwl przeszedł do opisywania dziejów Jankiela Bułgacza i innych furmanów. Wymienił każdego z imienia i nazwiska, podał imię każdego konia, ich maść, zalety i wady. Zaznaczył, kto z furmanów ma prawdziwe „rumaki”, a kto tylko chabety, padliny, zwykłe worki z kośćmi.

Od furmanów Meir Welwl przeszedł do handlarzy koni,

Cyganów, złodziei i „proroków”. Różnica między złodziejem a „prorokiem” polega na tym – Meir Welwl wyjaśniał to prosto – że złodziej wyprowadza konia ze stajni, zaś „prorok” zgaduje i wskazuje, gdzie koń obecnie przebywa. Dlatego należy z „prorokami” trzymać sztamę bardziej aniżeli ze złodziejami. – Nie ma co. W ciągu dwóch lat dzieci nie usłyszałyby od nikogo tego, czego dowiedziały się od Meira Welwla podczas dwóch dni podróży.

Teraz, gdy poznaliśmy już bałagutę, jego wóz i jego „rumaki”, możemy wrócić na chwilkę do Woronki i opowiedzieć, jak bohater niniejszej powieści biograficznej pożegnał się ze swoim miasteczkiem, nim je opuścił na zawsze.

23. Żegnaj, Woronko!

Bohater żegna się z rodzinnym miasteczkiem. Troska o skarb. Gotów jest podarować Gergele Złodziejowi swoje stare buty. Głupi incydent z dziewczyną Frumą

I choć miasteczko przejadło się już Szolemowi i ludzie w nim żyjący obrzydli, a Pinele, syn Szymeli, zdołał w swoim czasie dostatecznie je poniżyć, to jednak mimo wszystko przed ostatecznym opuszczeniem Woronki nabrała ona w oczach dzieci Nachuma, syna Wewika, dawnego blasku i czaru. Serdecznie żał było się z nią rozstać. Żegnał się z Woronką Szolem jak z żywą istotą, jak z wiernym i oddanym przyjacielem. Zaczął od sadu. Od każdego drzewa z osobna. Należały już do innego. Skończył pożegnanie na górze, która wznosiła się za bóżnicą. Spędził tam niejedną chwilę ze swoimi najlepszymi przyjaciółmi, poczynawszy od Szmulika sieroty i na Gergele Złodzieju skończywszy.

Specjalnie zatrzymał się w tym miejscu, w którym według obietnic Szmulika – a ten wiedział przecież najlepiej – spoczywał ukryty skarb. Stał jak zaczarowany. Samotny i skupiony w świętej ciszy. Różne myśli kłębiły się w głowie. Co będzie ze skarbem? Co się stanie, gdy wpadnie w ręce nie Żyda, lecz goja? A czy to w ogóle możliwe, żeby goj go znalazł? Na to pytanie może odpowiedzieć tylko Szmulik.

A gdzie teraz może być Szmulik? Czy spotka się z nim kiedyś w życiu? A co będzie, jeśli się spotkają? To wtedy pierwszą ich czynnością będzie chyba natychmiastowy przyjazd do Woronki. Jeszcze raz rzucić okiem na wszystkie miejsca, gdzie razem spędzili swoje chłopięce lata. Po czym natychmiast zabiorą się z całą energią do wykopania skarbu. Według wszelkich przepisów. Najpierw jeden z nich będzie pościł, następnie drugi. A gdy skończą z postem i z odmawianiem psalmów, przystąpią do pracy nad znalezieniem skarbu. Kiedy go znajdą, podzielą się nim równo. Każdą połowę rozdziela na części. Cóż to będzie za święto!

Najwięcej przypadnie, rzecz jasna, w udziale ojcu Szolema. Stryj Nysl też dostanie przyzwoitą część. Poza tym dostanie coś stryj Pinie, a resztę otrzymają krewni. Bardzo duża część skarbu przypadnie miastu, czyli Żydom woronkowskim. Żona rzezaka, biedna wdowa! Trzeba jej dać tyle, aby przestała gadać o powtórny zamążpójściu i zaniechała pielgrzymki do Chwostowa, do ubogich krewnych, którzy sami ledwo zipią. Obydwie „starościny”, dziewoja Fruma i Fejgele Diabeł, chociaż na to nie zasłużyły, też coś dostaną, znacznie więcej niż ich mężowie mogliby sobie w najśmielszych snach wymarzyć. Stara Ruda Basia, która żyje z wypieku obwarzanków, blinów i sucharów, a całą rodzinę utrzymuje tymi swoimi spuchniętymi rękami, powinna na starość zażywać odpoczynku. A szamesa Mejlecha i Gedalię pijaka można pominąć? Albo weźmy dla przykładu kantora Szmuela Elijahu. Ten uskarża się, iż mu za

ciasno w naszym mieście. Ma wspaniały głos. Śpiewałby lepiej od niejednego z wielkich znanych w świecie kantorów, gdyby tylko miał nuty. Trzeba więc postarać się o nuty dla niego.

Pozostaje teraz tylko jeden Gergele Złodziej. Co zrobić z tym chłopakiem, aby przestał kraść? Przede wszystkim należy spowodować, żeby jego matka przestała być kucharką. Zaś jego przybranemu ojcu trzeba kupić niezwłocznie mieszkanie. Na własność. Co do pieniędzy, to należy mu dać ich tyle, aby mógł wypychać nimi wszystkie kieszenie. Trzeba mu jednak oświadczyć wyraźnie, że to nie przez wzgląd na niego, tylko z powodu pasierba Gergele. Od tej chwili niech nie śmie go bić ani przezywać złodziejem.

Nagle przed Szolem wyrasta Gergele Złodziej. Bosy i obdarty jak zwykle.

– Skąd się wzięłeś?

– A ty?

Rozmowa. Razem ruszają na spacer. Szolem powiadamia go o swoim wyjeździe. Gergele wie już o tym. Słyszał w mieście. Zdążył nawet już obejrzeć wóz z trzema końmi.

– Widziałeś? Co powiesz o nich?

– O kim?

– O koniach.

– A co mam powiedzieć? Konie...

– A wóz z budą podoba ci się?

– Buda jak buda...

Gergele jest nie w sosie. Czegoś mu brak. Przyjaciel chce mu

poprawić humor.

– Wiesz co? Przed chwilą myślałem właśnie o tobie. I akurat zjawileś się.

– Rzeczywiście? A co myślałeś o mnie?

– Myślałem... Miałem ciebie na myśli przy podziale skarbu.

– O jakim ty skarbie mówisz?

Szolem jest w rozterce. Powiedzieć mu czy nie? Gergele ponawia pytanie: – Co za skarb?

I Szolem opowiada mu historię o skarbie. Gergełę wprost rozsadza ciekawość.

– A gdzie ten skarb się znajduje?

Szolem znalazł się w jeszcze większym kłopotcie. Powiedzieć? W oczach Gergeły pojawiają się jakieś błyski.

– Czego się boisz? Sprzątnę go czy co?

Szolem żałuje już, że w ogóle zaczął rozmowę na ten temat. Przemawia więc tym samym tonem, jakim w swoim czasie przemawiał do niego Pinele, syn Szymeły. Z góry.

– Głuptasku, gdybym ci nawet powiedział i tak nie będziesz w stanie dotrzeć do niego. Do tego trzeba znać Kabałę. Trzeba też odbyć czterdzieści postów, a na czterdziesty pierwszy dzień...

– A na czterdziesty pierwszy dzień stajesz się idiotą! – Gergele przerywa Szolemowi i zerka na jego nowe buty z cholewami. Widać spodobały mu się.

– Nowe?

Szolem jest zawstydzony. Ma zupełnie nowe buty, a Gergele chodzi boso. Powiada więc do Gergeły:

– Jeśli chcesz, to pójdz ze mną do stryja Nysla. Dam ci coś w prezencie...

Coś w prezencie? Dlaczego nie? Gergele jest zadowolony. Idą szybkim krokiem. W domu zastają stryja Nysla oraz całą hałastrę przyjaciół, bardzo dobrych przyjaciół. Przyszli na wieść o przybyciu wozu z budą, który ma zawieźć dzieci Nachuma do Perejaślawia, aby pożegnać je i przesłać za ich pośrednictwem najlepsze pozdrowienia dla rodziców.

Wśród zgromadzonych znalazły się też obie „starościny”: Fruma oraz Fejgele Diabeł. Na razie same, bez mężów. Nieco później przyjdą i oni pożegnać się i przesłać pozdrowienia. Wszyscy spoglądają na dzieci z szacunkiem. Jadą przecież do wielkiego miasta, do Perejaślawia. Innym już językiem z nimi rozmawiają. Udzielają im rad. Jak mają jechać, gdzie się zatrzymać w Baryszpolu.

Stryjek Nysl, jak to ma w zwyczaju, każdemu daje prztyczka w nos i pyta, czy łobuzy napiszą kiedyś liścik do niego. Co za pytanie? Oczywiście, że napiszą. Co tydzień list. Co tam jeden list? Dwa na tydzień. Codziennie! Kantor Szmuel Elijahu prosi o przekazanie specjalnego pozdrowienia dla ojca. Poza tym niech Nachum, syn Wewika, dowie się, że od chwili jego wyjazdu, on, Szmuel Elijachu, nie zagrał jeszcze ani jednej partyjki szachów. Bo Woronka jest teraz pustkowiem. Ciocia Hudl zrobiła się nagle tak dobra, że przyłożyła do rany. Oświadczyła, że nie potrafi pojąć, jak można było wyprawić dzieci w podróż o suchym pysku. Co to za jedzenie, suche ciasteczka, twarde jajka i gruszki? I to na

dwa dni podróży. Dzieci mogą umrzeć z głodu. No i zabrała się do ładowania wszystkiego, co tylko mogła przygotować. Mały garnek smalcu, słoik zepsutych, bo przecukrzonych konfitur z zeszłego jeszcze lata i powidła tak kwaśne, że po skosztowaniu możesz ujrzeć Kraków i Lwów.

Podczas gdy ciocia Hudl pakowała „przysmaki” na drogę, a dzieci były zajęte pożegnaniem, rozegrała się mała scena pomiędzy Frumą dziewczyną a Gergelem Złodziejem. Fruma, ujrawszy Gergełę Złodzieja, zmierzyła go od stóp do głowy swoim ślepym oczkiem i z głupia frant zapytała Fejgele Diabła: – Co tu robi ten złodziej? – Gergele nie czekał, co odpowie Fejgele Diabeł, i sam zadał pytanie: – A co tu robi ta ślepa? – Wyniknąłby z tego niewątpliwie skandal, gdyby Szolem nie wziął za rękę przyjaciela i nie wyprowadził go z domu. W taki dzień można wszystko zrobić. Nawet przyjaźnić się z Gergele złodziejem.

– Powiedziałem, że dam ci coś w prezencie. – I Szolem, syn Nachuma, zachwycony własną wielkodusznością, wyciąga spod marynarki swoje stare buty z cholewami i podaje je Gergele Złodziejowi. Ten widocznie spodziewał się innego prezentu niż stare, używane buty. Na dodatek był wściekły z powodu draki ze ślepą Frumą, a także dlatego, że Szolem, jego przyjaciel, nie chciał ujawnić miejsca, w którym ukryty był skarb. Dość, że wziął buty i z całych sił grzmotnął nimi o ziemię nie ukrywając swej złości. I na bosaka dał chodu. Biegiem puścił się na przełaj i wkrótce zniknął z oczu.

Głupi incydent – a ile zdrowia kosztował. Zepsuł Szolemowi całą uroczystość pożegnania z miasteczkiem i zatrzał słodycz pierwszej wielkiej podróży. Na nic były wszystkie jego wysiłki, aby zapomnieć o koledze Gergele. Ciągłe jawił mu się przed oczyma i czynił wyrzuty: – Obraziłeś, znieważyłś biednego kolegę!

I oto wóz mija już targowisko. Za sobą ma już Szolem wszystkie kramy, wszystkie sklepy, chatki, cmentarz żydowski i cmentarz gojów, minął już mostek, dobrze mu znane ustronne zakątki i koniec z Woronką. I wtedy bohater tych wspomnień poczuł nagle, że chwyta go coś za gardło. I przeniknęło go na wskroś jakieś ciepłe, tkliwe uczucie litości. Wydawało mu się, że to małe, ciche miasteczko zostało osierocone. Oczy Szolema napełniły się łzami. Ukradkiem, aby nikt z braci tego nie widział, wytarł łzy i cicho po raz ostatni pożegnał się z miasteczkiem:

– Bądź zdrowa, Woronko! Żegnaj, Woronko!

24. Podróż

Podróż budą bałaguty Meira Welwla. Myśli filozoficzne. Pierwszy postój w drodze. Baryszpol. Właściciele zajazdu z długimi nochalami. Legowisko na podłodze. Bohater żegna się na zawsze z Woronką

Tylko ten, kto sam wyrósł w małym miasteczku i po raz pierwszy w życiu wyruszył w świat boży, potrafi zrozumieć i odczuć to ogromne szczęście i niewysłowioną przyjemność, jaką miała dzieciarnia podczas swojej pierwszej podróży. Przez kilka godzin chłopcy nie mogli sobie znaleźć miejsca pod budą wozu. Próbowali, biorąc za wzór ojca zasiadającego w wieczór Paschy na suto wyścielanym krześle przy sederze¹⁰², usadzić się na miękkich pościeliach. Wkładali ręce do kieszeni i kładli się wzdłuż wozu, wyciągając ramiona i nogi na całą długość. Dla odmiany próbowali jechać na stojąco, trzymając się rękami za obręcze budy. Tego już Meir Welwl nie mógł ścierpieć. I mimo że wszedł z chłopcami w komitywę i przez całą drogę opowiadał im furmańskie historie, to nie zawahał się zapewnić ich, że gdyby rozdarli brezent, nie omieszka im powyrywać nóg. Co powiedziawszy smagnął biczem „rumaki” i wóz potoczył się w szybkim tempie.

¹⁰² *seder* – uroczysta wieczerza w wigilię i w pierwszy dzień Pesach. [przypis tłumacza]

Kto pamięta smak pierwszej jazdy, ten wie, jak droga ucieka, jak ziemia ginie pod kołami, jak niknie pod kopytami koni, jak krajobraz przesuwa się przed oczyma, jak pachnie trawa. Jak drży potrącona gałąź przydrożnego drzewa. Jak wdziera się do gardła świeże powietrze i łaskocze, łaskocze aż do rozkoszy. Człowieka ponosi. Chce mu się śpiewać. Jest mu dobrze. Nieskończenie dobrze.

Minęliśmy już wszystkie domy miasteczka. Lecimy dalej. Wciąż dalej. I nagle widzimy, jak przed nami wyrastają olbrzymi żywi nieboszczycy. Ich wielkie łapy krążą w powietrzu. To unoszą się w górę, to znów spadają w dół. Strach patrzeć. Dopiero z bliska widać, że to wiatraki. I one wkrótce znikają z oczu. Przed nami tylko niebo i pole. Pole i niebo. Chce się zeskoczyć z wozu. A raczej wyfrunąć z niego i wtopić się w ten błękit, który nie zna ani początku, ani końca. Mimo woli rozmyślamy o tym, jak mały jest człowiek i jak potężny jest Ten, który stworzył piękny i wielki świat. Wpadamy powoli w drzemkę.

Ale oto przed nami jakaś ogromna furmanka. Ciągnie ją para ogromnych wołów o potężnych rogach. Przy furmance idzie bosy goj z wielgachną czapą na głowie. Meir Welwl wymienia z nim słowa powitania na poły po żydowsku, na poły po gojsku: – *Zdrowie*, człowiecze, cholera w bok *nechaj tobi bude*, a szlag sercowy na pewniaka! – Goj nie całkiem rozumie, co do niego mówi Żyd. Nie wie, czy mu dobrze życzy, czy źle. Stoi przeto przez chwilę strapiiony. Potem wykonuje jakiś ruch głową, mruczy pod nosem jakieś podziękowanie i rusza dalej w drogę.

Chłopcy pokładają się ze śmiechu. Meir Welwl, który nawet nie uśmiechnął się, odwraca głowę i powiada: – Co to za śmichy-chichy, bękarty? – Ładna ci historia, jeszcze pyta, co to za śmichy-chichy! I tak upływa dzień. Pierwszy dzień wspaniałej podróży pod koniec lata.

Ostatnie dni lata. Ileż w nich piękna! Pola już nagie. Miejscami zaorane. Zboże dawno skoszone. Gdzieniedzie tylko pobłyskuje jakiś kwiatek, wznosi się samotny kłos, jakaś łodyga. W ogrodach gojów widać kawony i melony. Leżą i dojrzewają. Żółcą się dynie, nabierają soków. Pną się dumnie ku górze słoneczniki. Pyszną się swoimi żółtymi papachami¹⁰³. A cały świat dokoła jest pełen muszek i mrówek. Brzęczą i bzykają. Skaczą pasikoniki. W powietrzu unoszą się płatki i puch. Kołyszą się jak w święto. Zapach pól przepelnia nozdrza. Świat dokoła wydaje się być tak wielki, tak niezmiernie wielki, a niebo tak bardzo okrągłe, że po raz wtóry nawiedza cię myśl, iż ludzie są za mali, zbyt mali w wielkim świecie, że tylko Bóg, którego majestatem przepelniona jest cała Ziemia, jest na jego miarę. Tylko Bóg jest na miarę tego świata...

– Złazcie, bękarty. Jesteśmy w Baryszpolu. Tu przenocujemy. Jak Bóg da, to jutro pojedziemy dalej.

Baryszpol to nowe miasto. Słuszniej jednak będzie, gdy powiem: nowa wieś. Duża wieś. Domki jak w Woronce. Ludzie też tacy sami. Ale nosy inne. Może to przypadek, a może nie. Chłopcy byli jednak dosyć zdziwieni, bo właściciel zajazdu, jego

¹⁰³ *papacha* – futrzana czapka męska zaopatrzona w nauszники. [przypis edytorski]

żona i cztery dorosłe córki, słowem, wszyscy oni mieli długie, wielgachne nosy. A jeśli wam mało, to dodam, że ich służąca miała jeszcze większy.

Dowiedziawszy się od bałaguty, czyje to dzieci, właściciel okazał im należyty szacunek. Przywitał serdecznie starym pozdrowieniem: *Szolem ałejchem!* – i nakazał długonosej służącej nastawić samowar. Długonosej żonie dał znak, aby podała zakąski, a długonosym córkom wydał polecenie, by natychmiast włożyły buty. Wszystkie bowiem chodziły na bosaka.

Z tymi to bosymi dziewczętami młodzi nasi podróżnicy szybko się oswoili. Z wielką ciekawością wypytywały chłopców, skąd przybywają i dokąd jadą. Pytały o imiona i o to, czy podoba im się Baryszpol. Chciały wszystko wiedzieć, nawet ile kto ma lat. Potem kosztowali wspólnie kwaśne powidła cici Hudl. Śmiechom nie było końca.

Później bawiono się w ciuciubabkę. Ten, który miał zawiązane oczy, powinien złapać wybraną osobę. Dziewczęta tak rozgrzały się tą zabawą, że gdy udało im się złapać któregoś z chłopców, to przyciskały go mocno do piersi, aż mu po prostu brakowało tchu.

Na noc pościelono im na podłodze. Podłogę wysłano słomą. Aby nie poczuli się obrażeni, długonosa właścicielka zajazdu pokazała im, że w innym kącie tej samej izby również na podłodze śpią jej córki. Nie zaszkodziło im to widocznie, bowiem wyrosły, bez uroku, nie najgorzej. Po tej uwadze gospodyni wysmarkała się porządnie. Chłopaki byliby z

legowiska wielce zadowoleni, gdyby nie trzeba było rozbierać się w obecności dziewcząt. Wstydzili się. Dziewczęta zaś wcale nie czuły wstydu. Bez ceregieli zdjęły płaszczyki i zostały w samych sukienkach, z gołymi szyjami, bose. Rozpuściły włosy i dziwne jakieś wymieniały między sobą spojrzenia. Zerkały na chłopców i śmiały się, śmiały i śmiały.

– Cisza, spokój! – zakomenderował gospodarz i zgasił lampę. W ciemnościach rozległ się jednak wkrótce tłumiony śmiech i cichy szelest słomy. Nie trwało to długo. Zdrowy, mocny, młody i niewinny sen wnet przymknął zdrowe, mocne i niewinne oczy.

Modlitwa poranna, którą odmawiał z pośpiechem właściciel zajazdu, uświadomiła chłopcom, że nastał już dzień i trzeba jechać do Perejasławia. Słowo „Perejasław” przepemniało ich serca radością. Meir Welwl, bałagula, włożył do woreczka tańes i tefilin, a twarz jego przy tym jaśniała niczym twarz cadyka. Poszedł zaprzęgać „rumaki”. Przekomarzał się z Maudrykiem, Tancerzem i Arystokratką w ich końskim języku. Do każdego miał jakieś pretensje. Najbardziej dostało się Tancerzowi, upominano go, żeby nie tańczył wtedy, gdy się nie gra.

Słońce świeciło. Całe podwórze przed zajazdem było jakby zanurzone w złocie. Zdawało się, że wszystko dokoła błyszczało po prostu od brylantów, lśniło od diamentów. Nawet kupa śmieci, która narosła tu od zeszłego lata, a może od ostatnich dwóch lat, pokryta była złotem. Cóż dopiero mówić o kogucie i kurach, które grzebały w śmieciach. Każde piórko wyglądało jak czyste złoto. Gdakanie kur sprawiało przyjemność. Ich

chód był pełen gracji. A gdy rudy kogut wskoczył na kupę śmieci, przymknął oczka i wyciągnął swoje do entej potęgi podniesione „kukuryku”, jakby na modłę ptasiego kantorowania, znowu objawiło się w pełni piękno świata i wielkość Tego, który go stworzył. Przemozna chęć ogarnęła człowieka, aby oddać mu hołd, ale nie, broń Boże, poprzez modlitwę, jak to uczynił właściciel zajazdu w Baryszpolu albo Meir Welwl, bałaguła. Nie. Na to chłopcy nie mieli najmniejszej ochoty. Taki sposób już przejadł im się. Co innego cicho, w głębi serca dziękować Bogu i chwalić go. W taki sposób – zgoda.

– Właźcie, bękarty, do wozu. Przed nami jeszcze cały dzień jazdy! – Meir Welwl popędzał chłopaków. Zapłacił za siano i owies, i pożegnał się z właścicielem zajazdu. Bractwo też pożegnało się jak należy z długonosą rodziną i włązło pod budę. A jak tylko wóz ruszył, ogarnęła ich znowu rozkosz, słodycz. Jakaś ożywcza świeżość ogromnego przestworza napływała ze wszystkich stron. Wóz toczył się po szerokim świecie pełnym pól i sadów, piasku, lasów i nieba. Nieba i nieba. Trochę za dużo było tego nieba. A może po prostu przejadła się już jazda. Raczej nie tyle jazda, co bałaguła i jego opowieści. Zaczynało już w głowie szumieć, migać przed oczyma, kłuć w bokach. Wszystko chyba od tych wstrząsów, od tej jazdy na wozie. Zdawało się, że będzie już tak trzęsło zawsze. O, żeby zejść z wozu, poczuć grunt pod nogami. Ogarnęła podróżnych tęsknota za domem, za miasteczkiem, za Woronką. I bohater niniejszej autobiografii zaszył się w kącie wozu Meira Welwla, westchnął głęboko i

znowu serdecznie pożegnał się z miasteczkiem. Po cichu, aby bracia nie słyszeli, szeptał:

– Bądź zdrowa, Woronko! Żegnaj, Woronko!

25. W nowym domu

Perejasław, wielkie miasto. Chłodne przyjęcie. Srebro zastawione. Z zarobkami krucho. Ojciec zatroskany

Po dwóch dniach jazdy przesyleni kurzem i opowieściami bałagowały młodzi podróżnicy spostrzegli, że zaraz będą w domu. Minęła jeszcze chwila i z ciemności nocy zaczęły wyłaniać się małe światełka. Niezawodne oznaki miasta. Później koła wozu zastukały na bruku i wozem zaczęło rzucać i trząść jeszcze mocniej niż przedtem. To już było prawdziwe miasto. Wielkie miasto – Perejasław. Z hukiem i trzaskiem wtoczył się wóz Meira Welwła na ciemne podwórko, gdzie w bramie wisiała zakopcona latarnia i wiązka siana – znak, że to zajezdny dom.

To, że źródłem dochodów rodziców był obecnie dom zajezdny, stanowiło dla dzieci jednocześnie niespodziankę i zniewagę. Jak to? Ich ojciec, reb Nachum, będzie przyjmował gości? Ich matka, Chaja Estera, będzie gotowała obiady dla nich? Ich babcia Minda będzie im usługiwała? Większego poniżenia nie mogli sobie wyobrazić. A marzyciel Szolem, który zawsze śnił o lepszych czasach, który obnosił się ze swoimi sukcesami, po kryjomu, po cichu cierpiał, płakał i tęsknił do swojej kochanej i małej Woronki. Nie rozumiał, dlaczego dorośli uznali, że kto zmienia miejsce, ten zmienia los. Ładna ci zmiana. Nie ma co mówić. – Wyłażcie, bękarty, jesteśmy na miejscu! – obwieścił

im Meir Welwl, gdy przeciągłym „pr” zatrzymał konie przed gankiem.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.